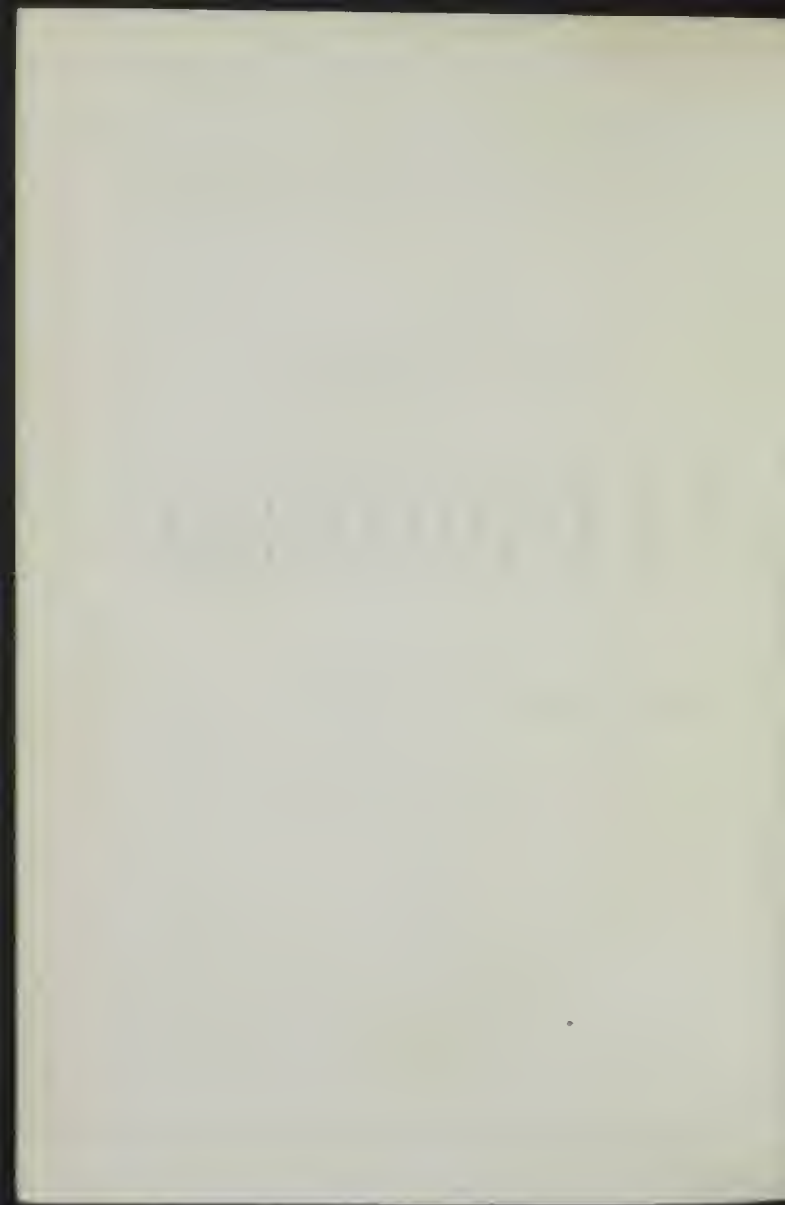


ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrane, poprawione i aporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom czterdziesty siódmy.



ZŁOTE JABŁKO

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzone i poprawione przez Autora.

Tom II.

L W Ó W.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha t. 10

1873.

W A R S Z A W A.

W księgarni Michała Glücksberga.



Nakładem Rogosza, Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.
Drukiem Kornęła Pillera.

ROZDZIAŁ I.

Jak wygląda złote jabłko.

Brzegi Horynią są gdzieniegdzie uroczej uśmiechniętej piękności, ale nie ujmując bynajmniej tej rzece i mieszkańcom jej brzegów w niej zakochanym, potrzeba wyznać, że czasami bywają dziwnie smutne i nieładne. Sosnowe lasy i piaski pięknie wyglądają zdaleka, zbliższa się predko przejadają.

Przed nami rozciąga się właśnie nadhoryński szeroki krajobraz, majestatyczny i smutny. Jak okiem zarzysz kolyszą się ogromne sosnowe lasy rozsądzone wśród wydym piaszczystych; gdzieniegdzie wątpliwej zieloności pole z rzadka staremi powysadzone sosnami, przecięte parowami, które ścieki wód wymyły, spuszczają się zwolna ku rzece. Gdzieniegdzie wioska szaro-brunatna z ciekawką czarną, pokrytą gontem omszonym, wyciąga się wężykiem ze swemi chudemi gruszkami, na których więcej kijów pozarzucanych przez chłopięta wiejskie niż owoców; z żurawiami studeń, z płotami

gęstemi i szeroko rozpląsnietą zakopconą karczma. Dalej widzisz gdzieś zabudowania folwarczne nbrane w tę barwę powszednią brunatną, która tu okrywa wszystkie dzieła ludzkie: szary młyn, stary dwór, szarą stodołę... Spojrzawszy z pagórka. gdy jeszcze nad tym obrazem smętnym zawisnie szare niebo jesienne podarte wichrami, siejące wilgoć i mgły przenikliwe, serce się ściska, smutek wkrada w dusze, tęsknota porывa i usta składają się do pytania: Jak tu ludzie żyją?!

Obraz, jaki przedstawiało okno Zakale, był jednym z najsmutniejszych w świecie. Leżała ta wieś nad Horyniem, ale nad Horyniem sęcącym się przez piaski z jednej, przez szerokie błota z drugiej strony. Poza nią czerniały bory poprzecinane, których gdzieniegdzie wysokie pnie widać było sterczące rzędami całemi, wiły się krzaki i zarośla płamiące żółty piasek, na którym żyć się starały... Wioska Zakale dosyć długa, ponad brzegiem wyprostowana, bez drzew, osamotniona na wydmy, dymiała jak pogorzelisko i czarna była od smolnych wyziewów. Dalej na horyzoncie inne dymy oznaczały sadybę Ciemiernej. O pół milki w lewo stała widoczna także Borowica. Nowiny kryły się w lesie. Na Horyniu jak plamka czarna widać było zgarbiony pływak do wąskiej przyparty grobelki.

Miedzy Zakalem a Borowicą, bliżej jednak pierwszego, pokazywały się zabudowania dworskie, wielki płatek szaro-brunatny, ponad którym najwyżej wznosił się dwupiętrowy dach starego dworu na pagórku n rzeki usadowionego. Dokola było coś nakształt mizernych drzew, obficie plotów i nie żalując piasku. Stajnie, obory, stodoły chruściane powiększej części zdaleka miały pozór jakichś strategicznych usypów w tajemnicze linje

ponkładanych. Wszystko razem wzięte wyglądało nędznie, brudno, opuszczono i nbogo.

Od wioski na przeciwnym brzegu położonej. a do Zakalańszczyzny nie należącej, przez często zatopione ługi wiodła grobla wystawa plotami i chrustem, z kilką wysokimi mostkami ruchomymi, bo nieraz w rok woda je wynosiła. a ludzie nkładali nie myśląc nawet przymocowywać: dalej zjeżdżało się do promu zwykle spiącego jak przewoźnicy w karczmie palący fajki, i przebywszy znown gorszą jeszcze grobelkę, już do państwa Zakalańskiego należąca, stawales pod dworem. Zbliżywszy się łatwo było poznać, że tu pan nie powstał od dawna, chyba w odwiedzin. tak brak było starania około dworn. Popasali tu tylko panowie rządcy i ekonomowie, pokolenie koczujące, które się nie stara npiekniać, bo nie spodziewa miejsca zagrzać. Okolo dworn wyjawszy maleńki ogródek spadzisto ku rzece zbiegający i pokopany w grządki, na którego dwóch, czy trzech ścieżkach sechł nieszczęśliwy ale uparty agrest i zdziczała porzeczką, nie było śladu ludzkiej myśli i reki: kilka starych drzew, z których siekiery stróżów jak mogły najwyżej pościosywały gałęzie, smutnie poglądały z wysoka na szczęśliwszych braci lasów. Były to osiki, topole i wszędobylskie sosny. Jednym jedna brzoza skrzywiona przytuliwszy się do płotu cichaczem wyrosła na boku.

Obficie za to było pod plotami do koła, na dziedzińcu, w ogródku, tych zarosłów bezimiennych, co zbiwszy się w kupę gęstą, naśmiewają się z niszczącej je ręki ludzkiej. Dziś je wyciąłeś, za dni kilka już żwawo zastępem całym puszczaają, a na wiosnę ani znać, że się koło nich uwijano z siekiera. Ta różno-

rodna płotów obsada, której żaden botanik rozklasyfikować by nie potrafił, nie gardząc przymierzem pokrzywy, łopuchu, blekotu i zawieruszonego z żyźniejszej ziemi bodiaka, wyśmienite stanowiła mieszkanie „dla komarów, wróbli i drobnego Bożego stworzenia, co się koło domostw ludzkich kręcić lubi. Obficie było w Zakalu tych utrapionych zarośli, a niektóre kupy szczególnie dochodziły już wysokości kilkunastu łokci, zwało się rozszerzając na wszystkie boki. Na pagórku z gliny i piasku, na którego wierzchołek wiodła wązka droga między dwoma płotami niedbale, choć wysoko wyerygowanemi. ogromna brama z dachem słomianym, z furtką o kilku stopniach, szanowna starożytnością i gniazdami wróbli, wspaniale się najprzód przedstawiała oku. Koło niej stał niebiesko pomalowany krzyż, z napisem świadczącym, że go wzniósł przedostatni rządcą. Na prawo zaraz skręcała się droga do drugiej bramy i zajeżdżało się w dziedziniec. Ten przedstawiał oku nieforemny prostokąt ograniczony z jednej strony dworem, z drugiej oficyną, z trzeciej spichlerzem z galerją i stajnią, z czwartej był płot, o którego dawnem istnieniu świadczyły bujne pod opieką jego wyrosłe chwasty.

Na podwórzu panował malowniczy może, ale nie piękny w naturze nieład; pomiędzy oficyną a dworem stała ze spuszczonemi hołoblami beczka wody, stara, pękata i głupawej fizjonomji.

Tuż na płocie wietrzyły się hladysze, garuki, skopki, dojniczki i rozmaity sprzęt gospodarski pozawieszany na kołkach, któremu do góry nogami nie było do twarzy. Dalej na wolnej części płotu, który tyle ma użytków na wsi, schła bielizna długim rzędem naj-

dziwniejszym kształtów zadziwiająca oko. Były tam koszule usiłujące przedrzeć się z pomocą wiatru figury tych co je nosili zwykle, nadziane na kołki pończochy świecące piętami grubo cerowanymi, spódniczki trzpiotowate, chustki teskniące za tabakierką i mnóstwo bielizny, której opis nie daje się dokładnie uskutecznić. Najzabawniejszą była jedna długa, biała kamizelka, która widocznie chciała grać rolę ważniejszą i odsunięta od reszty współtowarzyszów, arystokratycznie poglądała na nich.

Przed progiem dworu leżała owa kłoda, jaką często widujemy pod karczynami, służąca póty za podpórkę do rąbania, póki siekiera do reszty jej nie wyszczerbi, lub w głodny czas niewdzięczny stróż nie rozszerze na podpalki. Męczeunica ta w pośrodku już tak była ścieniała, że co chwila groziła podaniem się do dymisji. Koło niej wielki cmentarz trzasek żółtych formował przyzwoitą kupę śmiecia, gdzieś tam emaljowanego galganami i wymiecionemi z domu resztkami żywota. O! gdyby człowiek myśleć umiał, czegożby to nie znalazł w kupie śmieci, tej *ultima linea rerum*!

Ale wujdźmy nareszcie do dworu, a najprzód pokłońmy mu się z podwórza. Boć to poważne staro-świeckie domostwo, o dwupietrowym dachu, trzy ogromne ma kominy na nim, a pogląda z ozdobami na wszystkie strony oknami oświecającemi strychy. Okna te zdawna powybijane, zastąpione okienniczkami, niezamykane wreszcie, stały się wielkimi, nieforemnymi otworami tylko, bo i ramy ich opadły po kawalku. Gouty stare nie wiele łatane, pokryte grubą warstwą mchów, w wielu miejscach przebutwiały, popadały się, ośliznęły, lub są w drodze ku ziemi. Ściany dworu

choć je czcze się lepiej trzymają, bo z połowę ich w ziemi wsiadło, prostują się jak mogą, tynk tylko jakoś z nimi pogodzić się nie umiał. Gdzieniegdzie obalil się kupą gruzu, lub podstawał wielkimi wydętymi brzuchami. Oprócz poważnego ganku w pośrodku wspartego na nowszych słupach sosnowych, według zasad architektury nieznannej, wydetych w pośrodku bardzo widocznie, domostwo miało po czworo okien z każdej strony i dawniej uchodzić mogło za bardzo obszerne. W szczęśliwych bowiem czasach, których już mało kto pamięta, goście nie potrzebowali osobnych pokoiów, spali sobie pokotem, a bawili się w ysmienicie szturchając łokciami. Te cztery okna z obu stron głównego wnijsia już się bardzo zbliżyły ku ziemi, ale jeszcze miały wszystkie małeńkie szybki popalone i okiennice z sercami, acz podpierane kółkami na dzień i na noc, bo ani zamknięte, ani odemknięte na miejscu wytrwać nie mogły i zostawione sobie miały zwyczaj kołysać się i pisać nieznośnie choćby nawet wiatru nie było. Jeden z rządców Zakala, którego żona była bardzo nerwowa, z przyczyny, iż służyła u księżnej R... zafundował do wszystkich okienic drągi, które dotąd służyły.

W pośrodku była sień ogromna na przestrzał ze wschodami na strychy, pod którymi od bardzo dawna stał wielki magiel z resztkami młyńskich kamieni. Na prawo i lewo było podwoje drzwi wiodących do pokoiów, przestrzałowe wychodziły na ogródek, ale się od dawna nie zamykały.

Na lewo przez pierwsze wchodziło się do zajętych izb przez terażniejszego pana rządcę; były to jeszcze dość okazałe komnaty, ale już bez cech starożytności; bo w nich sufity płócienne zamieniono na tarcicowe.

postawiono nowe piece i kominy, dano podłogi, a zresztą ubiór ich nowożytny odejmował im wszelką barwę.

Pierwszą bardzo wielką zajmowały w tej chwili prządki siedzące na ławach w milczeniu i mówiąc po cichu, śmiejące się półgębkiem, bo czuły tuż przy sobie gromowładną rządczynię. Jakoż przez drzwi w pół otwarte świecił się czysty pokój pani Superkowej, w którym ona i córka zajęte były rozmową.

Tu było schłndnie, łóżka białe wysłane. kuferków dosyć, obrazków po ścianach i wianków z palmami pełno, tykwy na piecu i na kominie, gitara na gwoździu osłonięta musliowym woalem starym. Pod oknem stolicek i wazoniki z geranium, z agapanthussem, rozmarynem i zwykłą botaniką ekonomiczną.

Na dwóch krzesłach, niegdyś białych olejno pokostowanych i wylaczanych, na których półtora wieków siedziało i dobrze je wygniotło, naprzeciw siebie spoczywały matka i córka, obie niepospolicie jak było widać po twarzach zafrasowane. Matka choć mogła mieć lat blisko czterdziestą, miała tę szczęśliwą piekność co się nie starzeje, świeżą, krwistą, nieogorzałą, ubraną w wielkie oczy czarne, wyraziste i bez ukrywania się szczerze zalotne, postawę niezmiernie zreczną, wysmukłą jeszcze, choć już bardzo pełnych kształtów, rączkę białą i nóżkę małą. Typ twarzy przypominał garderobiane sprytną, dowcipną, przypsutą, a nie wiedzącą nic więcej, prócz że jej twarzyczka zaręczala powodzenie na świecie. Ale dziś wyraz ten zatęchł trochę kłopoty i starania o chleb powszedni...

Córeczka obok siedząca, może piętnastoletnia, chuda, blado-żółta, mocno brzydka i cherlająca widocznie, nie

a nie matki nie przypominała, ani zdrowiem. ani wesołością, ani typem rysów. Było to stworzeńko biedne, wychorowane. rozkapryszone, samowolne i niezdolne. Żona rządy i córka jego ubrane były starannie, a młodsza nawet na swój stan za wytwornie; widać że jej rodzice nie odmówić nie śmieli. Uśmiech jakiś pogardliwy błdził po bladych jej ustach ściśniętych; podparta na łokciu. oczy miała wlepione w róg izby i czoło chmurne.

— Moja Delciu, odezwała się matka. trudno po nas takich rzeczy wymagać... my musimy służyć, to daremna rzecz, majątku nie mamy...

— Co innego u hrabiego, odpowiedziała paupienka, ale u jakiegoś tam kupca co ten majątek kupił teraz, który gotów we wszystko wglądać, prześladować i traktować nas jeszcze z góry.

— E! o toby było najmniejsza! odparła matka. Zresztą nie wiemy jeszcze czy i on nas zechce; pisał prawda do ojca, że gotów go zatrzymać, jeśli mu się starać będzie służyć dobrze, ale zobaczymy dopiero na miejscu jak się sobie podobamy. A że on kupiec czy kto tam taki, to nam wszystko jedno. Jeszcze lepiej, na niczem się znać nie będzie, co zechcemy to mu wmówić potrafi! Potem mamy z ojcem projekt...

— Jakiż projekt. matuniu?

— Ale bo to wcześniej się z tem wygadawać!

— Toć przedemną.

— Ty bo Delciu często wypaplesz.

— Widzę że mnie mama chce rozchorować, ja nie mam tak żelaznego zdrowia, proszę mnie nie męczyć, zawołała pieszczoszka. proszę mi powiedzieć zaraz.

— Zamkniijże drzwi od kobiet.

— Gorzej, podedrzwiami podsłuchiwać będą.

— Prawda moja Deleu. Cała rzecz, dodała zniżając głos, żeby go zrazić i nie dać mu tu zamieszkać jak chce. Ojciec i ja bardzo o tem myślemy. Zje licha żeby tu wyżył... Odjeżdżając, musi nam oddać Zakale. będziemy tu panowali lepiej niż za hrabiego...

— Ale czy to się uda?

— O! o! na to głowa ojca i moja! I pomocnicy się znajdują.

Właśnie tych słów domawiała gdy wszedł pan rzędcą z sążnistym batogiem, a była to tak pocieszna figurka, że nie przywykły musiał ją powitać wykrzykiem zadziwienia. Sąsiedni szlachta nazywali go pospolicie Lokietkiem, a wieśniacy Kucym, co jeszcze lepiej malowało małego człowieka. naczupurzonego bardzo, na wysokich nogach niezmiernie krótki noszącego tołubek i głowę potężną. Twarz, jakby na przekór wzrostowi i nieforemności, była dosyć przystojna, choć podstarzała i nie świeża; wąsik na niej czarny do góry, czupryna także w celu dosztukowania niedostającego wzrostu; ręce przytem jak karły i garbaci miał dosyć długie i żyłaste, pierś wydęta, a wyraz fizjonomji zapalczywy i energiczny. Takim w istocie był pan rzędcą dla całego świata, wyjąwszy żonę i córkę, bo tym ulegał w poko-rze, zaraz w początkach swojego małżeństwa przekonawszy się, że Julce rady nie da i że się musi dozwo-lić wodzić za nos. Był przez nią tak zwojowany, że w ni-czem bez jej rady i rozkazu nie stąpił kroku i nawet na pole wyjeżdżając jej się meldował.

Wszedłszy do pokoju, powiesił kańczuk u drzwi, zdjął czapkę, spojrzał na długie po kolana buty juchto-we, które miał na sobie, czy zbyt wiele nie przyniosły

blota i zbliżył się dosyć niesmiało.

— A co? odezwiała się żona, Fedos powrócił?

— A jakże. jest bestja.

— Dalżes mu naucekę?

— To się rozumie, odlewanych... .

— A klucznica gdzie?

— Koło krów...

— Gonty sprzedales?

— Inżem się zgodził.

— Trzeba było zaraz odesłać, nuż ich tu lieho przyniesie prędzej niż się spodziewamy?

— Gdzie zaś! droga szkaradna, przecieźby kogoś przysłali dla przygotowania domu; bo to słysze ludzie miljonowi i do wygódek przywykli.

— Słuchasz! kręć głową odparła żona, to być musi jakiś przechrzta... pewna jestem, że ze strachu aby mu tu co nieubyla. zlecł na nas jak piorun.

— A niech sobie przyjeżdża! ruszył ramionami rządzca. nie wiele o to stoje... Nie pogodzimy się. to mi hrabia daje w Supówce mięjsce.

-- Pozwól sobie kochanku powiedzieć. że choć to majątek dla dziedzica licha wart, te Zakale, ale dla nas najlepszy. Hrabia już niezadługo bokami świecić będzie, bo się na procesy zrujanje do reszty. Supówka wołyński majątek. co my tam będziemy robili? Tu, to zupełnie co innego, rąk dużo. prządek dosyć, gont można wyrobić ile chcąc, od łąk się bierze, smoła także do kieszeni ścieka i dziegieć co roku, życie wygodne.

— Toć prawda. rzekł mały ruszając ramionami, ale jak on tu mieszkać zechce, jak mówi?

-- Wielka rzecz, to zechce! ruszając także ramionami, z miłą wyższości odpowiedziała żona.

— A cóż mu zrobisz?

— Powoli. ślicznie, pięknie, tak go ztąd wykurzemy, że ani się obejrzy, jak się oprze znowu w Warszawie.

— Dawno to ja wiem moje kochanie, że ty masz główkę nie lada, ale jak to zrobić nie rozumiem.

No! no! darmoby wcześniej mówić, sposoby się znajdują, jest ich tysiące... poszukamy takich co pomogą... zobaczysz: już ja mam swój planik... Możemy trochę w początku przecierpieć, ale to się wszystko nagrodzi.

— Ha! poprobujemy! rzekł cicho rzadzca.

— Czy oni w istocie pisali, żeby im dom wyporządzić i oczyścić? spytała Julja.

— A pisali... ale ja jeszcze nie myślałem, były pilniejsze swoje roboty.

- Trzebaby jednak zajrzeć co się dzieje i pomyśleć trochę: dajno mi klucza, pójdziemy oglądnąć... Nam nawet na czas na folwark się przyjdzie wynieść, albo do Borowicy może... ale to nie.

Pani rządczyni wstała, wzięła klucze, po które mąż spiał się do kolka i zatrzymała się w progu.

— Tej strony domu nie ma co i obzierać, rzekła, ani się wynosić z niej, póki nie przyjada, bo my ją całkiem zajmujemy i czeladź.

— A druga połowa licha warta! rzekł rzadzca.

— To tem lepiej! kiwając główką cicho szepelała Julja. Ty Delciu zostań, tamby ci wilgoć mogła zaszkodzić. Może się połóżysz?

Córka nie odpowiedziała; oboje państwo wyszli przez pierwszą izbę. Żona przodem surowo oglądając się na prządki, mąż z tyłu uśmiechając się do młodszych

Minawszy się ogromną, otworzyli przeciwległe drzwi i znaleźli się w pokoju obszernym dosyć, ale w stanie zupełnego opuszczenia; pozostał on jeszcze jak za czasów babki hrabiego, z domu Szujskiej, ale też każdy tu rok wypiętnował się jakimś zniszczeniem.

Ściany okrywały jeszcze lamperje niegdyś pokostowane, dziś pogniłe, odstające, miejscami zdarte, między którymi wisiało szmatami obicie, podobne do reszt zbudawialych sukni, które okrywają dwuwiekowe ciała nieboszczyków. Na szczetach tej dawnej wspaniałości nie było już barwy żadnej, tylko brunatny kolor który zgnilizne ozuacza. Posadzka składała się z odstających resztek spruchniałych tafel; piec kaflowy na wpół był rozebrany. Przykra woń zamkniętej wilgoci, grobowe, ciężkie zimno, uderzało wchodzącego. Okna nie przepuszczały prawie światła przez zaślepione szyby; kilka strzaskanych krzeseł wałały się po kątach: zbite zwierciadło wdzieczyło się jeszcze floresowanemi ramami, niegdyś złocnemi, a pod niem stała pusta beczka od pierza.

Pani rządczyni parsknęła śmiechem.

— Oto śliczny salon mieć będą! zawolała.

— Jak to naprawić? rzekł mąż, chyba z gruntu budować nowe.

— Niedoczekanie ich!

Weszli do drugiego pokoju obok, do którego była tylko połowa drzwi, drugą zdjętą z zawias, od dawna przykrywano sypanki pani rządczyni. Tu tenże obraz, barwa i wyziewy, z niewielką różnicą. Pokoik był dawniej malowany w widoki, na których kilka pokoleń rządców młodych popisało i porysowało dziwaczne figury, nie zbyt zdobiące brudną ścianę. Byli tam żołnierze

w stosowanych kapeluszach, z fajkami na koniach podobnych do ptaków; portrety różne podobniejsze do zwierząt niż do ludzi i ciekawe hieroglify i jeszcze ciekawsze zdania i myśli. Okno do pół zabite było deskami. Ztąd wychodziło się do porządniejszych nieco dwóch, zajmowanych czasem przez hrabiego, ale od roku przynajmniej zupełnie opuszczonych. Tu już ściany były tykowane i bielone, szyby lepsze, piece nowe i sufit z tarcic. W drugim znajdowała się jeszcze wielka alkowa, pełna w tej chwili kotuchów, motowidel, maku-ter i tym podobnego sprzętu. Z małą garderóbką, składało to całą część, oczekującą na przybycie dzieciów.

Rządca głową pokręcał.

— Można by choć te graty powynosić. spytał, co nie potrzebne...

— A nie będzie dosyć czasu jak przyjadą?

— Ależby trzeba choć poumiatać, bo gotowi nas przepędzić, jak się tu nie potrafią umieścić.

— Właśnie ja się dam! burknęła żona.

— No! no! rób jak wiesz, rzekł mąż, to już nie moja głowa.

W tej chwili właśnie zdyszany parobek od promu wleciał i zawołał:

— Jedzie trzy powozy wprost do Zakala, to musi być nowy pa...!

— A nie...! krzyknął rządca.

— Cicho! i głowy nie tracić! zakomenderowała żona, wychodząc żywo.

ROZDZIAŁ II

Komu w drogę, temu czas.

My musimy jeszcze na chwilę powrócić do Warszawy i cofnąć się trochę, nim razem z panem Erazmem, żoną jego, córką i synem przyjedziemy do Zakala.

Nabycie złotego jabłka we dwa dni po opisanych wypadkach przyszło do skutku równie nieopatrzenie i żywo, jak traktowanie z hrabią. Nie dając się niczem zbić z wielkich wyobrażeń i nadziei, jakie na Zakalu budował, pan Erazm chwycił je z uśmiechem uszcześliwienia, zdając się mówić do wszystkich co mu za-przecza-
li: zobaczycie! zobaczycie!

Nie zraziła go cena coraz powiększająca się dóbr, o których już mówiono że pewnie o jakie dwakroć przepłacone zostały. Przyszło do finalnych układów i co chwila potrzeba było jeszcze za coś dopłacać.

Kto kiedykolwiek kupował majątek, wie to, że w pierwszych latach, a zwłaszcza w pierwszych chwilach, wyrastają wydatki ze zdumiewającą szybkością, jak grzybki po deszczu. Niepodobna się im opędzić.

Do szacunku Zakala potrzeba było dodać to co wydrwił Zrebski, pod pozorem zaspokojenia plenipotentą, i co jemu osobiście wspaniałomyślny kupiec ofiarował. Dwie te sumki stanowiły już dosyć znaczny wydatek. Zrebski wdzięczący się dotąd, posługujący, roztkliwiający się, winszujący nieustannie, raptem odebrawszy co mu się nie należało, wpadł jak w wodę i zniknął. Napróżno szukano go w mieście. Bał nie umiejący posądzać, łatwiej przypuszczał że się mógł uchowaj Boże utopić. Zrebski w istocie korzystając z tego, że nikt o jego mieszkaniu nie wiedział, trzymał się w niem zakuty, bojąc wychodzić, póki by Bałowie nie wyjechali z Warszawy.

Oprócz tego potrzeba było dać porękawicze dla pani hrabinej, przyjąć na siebie koszty nabycia i opłaty stemplowe znacznie szacunkiem dóbr przesadzonym podniesione i tysiące drobnośtek, których kupując przewidzieć niepodobna, ani kupiwszy uniknąć.

Hrabia Bracibor Sulimowski zaszczycił dom pana Bała bytnością swą na czwartkowym objedzie; przyszedł przygotowany do uśmiechów i żartu, odszedł niemal upokorzony przepychem kupca, tonem jego domu, znajomością świata i zwyczajów, wzdychając nad tem, że arystokracja upada, że już wszystko, co było jej wyłączną własnością, przechodzi na własność powszechną! W istocie szedł wyobrażając sobie po pociesznym panu Erazmie, dom jego na stopie pretensjonalniej a niesmacznej; znalazł w nim więcej niż u siebie, bo pani Bałowa była kobietą najskromniej wychowaną i umiejącą przyjąć nawet króla. Przygotowany do szyderstwa, zbił się z tropu zupełnie; salon pani domu, jej śliczna córka, urządzenie przyjęcia, które było przepyszne w isto-

cie a na oko skromne niemal, zdziwiło go i zmieszało. Ten miejski dostatek wszystkiego, wytwor, dobór w najmniejszej rzeczy, w głowie mu się pomieścić nie mogły. Myślał że zapięty pod szyję, wyprostowany, ze swą wstążeczką bożogrobską niedbale przypiętą w pętlizce, wielce zaimponuje postawą i w tem się niezmiernie zawiódł. Towarzystwo w którem się znalazł, było daleko od niego wyższe umysłowie, tonem, manierą, wszystkim, a to mu popsulo humor. Pożałował niemal że się wdał z panem Balem. Traktowano go grzecznie, ale na stopie zupełnej równości, na której nawet pod względem umysłowym stanąć nie zasługiwał. Przywykły do odegrywania na wsi większej roli, musiał się ograniczyć na wyliczeniu swoich kuzynów, kuzynek, babek i prababek. A i to nawet nie robiło na nikim wrażenia, prócz na pann Erazmie.

Objad i przyjęcie było prawdziwie pańskie, o jakim nie marzył hrabia; był pewien przydymionych leguminiek i suchego pieczystego, a trafił na biesiadę Lukulla. oblaną doborem win. których nazwiska nie znał nawet. W miarę jak to przyjęcie coraz go bardziej zdumiewało, posępniała twarz, ruchy stawały się coraz bardziej sztywne i wydające pomieszanie, usta milkły; wyszedł z tęsknotą, gniewem prawie. upokorzony i zdumiony.

Ukończywszy interesy, hrabia nie poczał się pakować do dóbr swoich. tak że pan Bal. rachujący na bliższą z nim znajomość dla przyszłych stosunków w nieznanym kraju, zupełnie został zawiedziony. Hrabia widocznie go unikał. widać było po nim. jak czuł że się omylił, nareszcie zniknął niespodzianie.

Było w Warszawie naówczas kilka osób znających

dawniej i lepiej hrabiego, zebrane o nim przez Stanisława wiadomości najgorzej świadczyły. Był to ów krewny pięknej Konstancji, który jej dziada procesem o śmierć przyprawił. Ilekroć jednak mówiono, z daleka pana Bala do zawodów i strat przygotowując, że może się zawieść na Sulimowskim, ogromnie się zaperzał, gniewał i przypuścić nawet nie chciał, żeby się dał oszukać.

Tak rachował na nabycie i już do niego całą przyszłość swą stosował, że koniecznie chciał wyprzedać kamienice i handel, szczęściem słowo w pierwszej chwili dane żonie wstrzymało go od tego, a Stanisławowi powierzono kierunek pozostałemi w Warszawie interesami, które znaczniejszą jeszcze część majątku Balów składały.

Strumisz nie bez wahania podjął się tak ciężkich obowiązków i odpowiedzialności, jakie na niego wkładały. obawiał się bowiem młodości swej i niedoświadczenia. Stanisław jednak tyle go prosił, zaklinał i naglił, że się nareszcie podjąć musiał. Pan Erazm zawsze łatwy do zaufania każdemu bez wahania, majątność swoją oddał całą w jego ręce. A że poświęcenie ze strony młodego człowieka było wielkie i stanowcze, zapewnił mu współkę zysków w handlu, bez wykładu kapitału. Ze strony Strumisza kapitał zastępowała praca, która niczem innym nie jest jak nasieniem wszelkiego kapitału.

Ze smutkiem i przeczuciami przykre mi pani Balo-wa opuszczała rodzinne swe miasto. Stanisław chciał zostać, ale mu ojciec stanowczo tego odmówił. Lizia chodziła smutna, sama nie wiedząc jeszcze czy więcej tęsknić będzie za Strumiszem. czy za wioską i niezna-

nym? Od owej chwili, gdy przeczytała życie jego, gdy wniknęła w myśli, dziwne dumanie i uczucie zastąpiło pierwszą jej trzpiotowatą zalotność. Nie wiedziała sama czy go kochała, czy się go obawiała. Zmieszanie dwojga tych uczuć bardzo się często przytrafia w młodych sercach. Pierwszy to raz w szczerzej spowiedzi poznała prawdziwą miłość, o jakiej pojęcia nie miała. To co dotąd uważała za zabawkę, przedstawiało się jej strasznem, groźnem niebezpieczeństwem.

Unikać poczęła Jana, a gdy go nie widziała długo, gdy nie posłyszała głosu, teskniła; zdawało jej się że przestał ją kochać; ta myśl niepokojem jakimś i obawą ją dręczyła. Im więcej zbliżała się chwila wyjazdu, tem szczerzej smutnieć poczyniała, już wieś nie tak ją pociągała, jak to co miała porzucić.

Strumisz na pozór nic się nie zmienił, cierpiał on na tych wypadkach, ale tak starannie krył w sobie co doznawał, że jeden Stanisław mógł się tego domysleć. Pocieszało go, że węzeł, co go łączył z rodziną Lizi, trwać miał nierozzerwany... jakaś daleka widzenia jej.. tylko... nadzieja uśmiechała się za mgłami...

Tymczasem pan Erazm zaprzatniony cały swojem nabyciem, posuwał manję dziedzictwa do szalu prawie. O niczem innem nie myślał i nie mówił, w nocy się zrywał zapisywać różne ważne projekty ulepszeń. Kogo spotkał na ulicy każdemu opisywał Zakale, jak gdyby je znał i widział, a co namarzył! a co się na-uśmiechał do wyrojonych obrazków!

Przyszłe jego dziedzictwo przedstawiało mu się jak ziemia obiecana Izraelitom, codzień wynajdował w niem przymiot nowy. bogactwo niespodziane, wdziek niespostrzeżony. roztkliwił się czasem do łez gdy mówił o

tem. to znów śmiał z radości, tak że mógł dostać serdecznego śmiechu, gdyby go nie bronila szczęśliwa bardzo organizacja. Nie było strony, z którejby nie próbował przyszłego swego położenia odgadnąć i uróżować; widział w obywatelstwie pocziwych owych wieśniaków, z sercem otwartem, z duszą sympatyczną i obiecywał wcześniej kochać ich z sił całych, być jak najpopularniejszym i jak najlepszym sąsiadem; w ludzie swym upatrywał zawczasu wszystkie przymioty, jakimi Bóg obdarza szczęśliwe tylko wyjątki; budował już chaty, dawał zapomogi, sprawiał dożynki i wystawiał sobie jak będzie wyglądał z wieniec na głowie. Wjazd swój jak rodzaj tryumfu odmalował zawczasu ognistą wyobraźnią.

Nic też wyrównać nie mogło pośpiechowi z jakim naglił do wyjazdu żonę, syna i wszystkich co mu zawadzali. Rad był jednego dnia uciec z miasta. Ale po kilkudziesięcioletnim pobycie nie tak to łatwo jak się zdaje. Jeśli nie interesy zlecone Strumiszowi, to przygotowania same dość czasu забраć musiały. Pan Bał nigdy nie podróżował z familją, a zwykle jeżdżąc tylko za granicę, gdzie odbywają podróże łatwiej i wygodniej niż u nas, zdumiewał się mnóstwem przyborów które mu wskazywali doświadczeni. Był pewien, że *Stilton*, *Chester* i doskonałe *Sherry* i wszystko czego do życia potrzebować może, znajdzie w najpierwszem miasteczku; zaręczał że w każdej oberży po drodze trafią na posłane łóżka i gorące objady lub wieczerze. A gdy mu dowodzono, że w kraju, do którego jedzie, często po miasteczkach nawet nie ma porządniejszych gospód. ani nic do zjedzenia, pojąć tego nie mógł. Składał to na potwarze. Niestety! smutne doświadcze-

nie nauczyć go miało, że obraz kraju nie był wcale przesadzony.

Kupiono nakoniec powozy, konie, furgony, zabrano służących, zwykle niechetnych do wyjazdu w daleką stronę i pan Bal nie mogąc dłużej wytrzymać, naznaczył dzień wyprawy. Latał teraz od domu do domu i żegnał się ze wszystkimi, nawet po ulicach łapiąc mało znajomych, których zadziwiał rozpromienioną twarzą i mnóstwem pakunków po kieszeniach.

Stanisław posłuszny woli ojca, ostatniego wieczora poszedł ze spuszczoną głową na pożegnanie do Krombachów.

Cierpiał, ale siła tej miłości męskiej, która gorzała w jego sercu, broniła go od rozpacz, bo ufał w nią. Będzie czekał, mówił w sobie, cierpiał, bolał, ale wytrwam do końca.

Nie tajne mu były ojcowskie pomysły, bo pan Bal wszystkim po cichu szeptał, że córkę wyda za grafa a syna ożeni z jaką księżniczką, kupując mu miljonowe dobra; nie sprzeciwił się ojcu by go nie drażnić. ale czuł że to być nie może.

Piękny był wieczór jesienny, gdy się zbliżył do domu Krombachów. Konstancja w czarnej sukni stała na balkonie oparta na poręczy, z wysoka poglądając na zachodzące słońce... Zobaczyła Stanisława i przywitała go skinieniem głowy.

— Zastałeś mnie pan prawie samę, rzekła mu, podając rękę gdy wchodził, musiałam dotrzymać towarzysztwa mojej kochanej staruszce, wszyscy zresztą poszli na przechadzkę...

— Tem lepiej, odpowiedział Staś żywo, los mi choć raz służył.

Konstancja nie zdawała się tego roznmieć i wskazała mu na kanapie siedzącą z pończoszką starą panią Krombach z pieskiem na kolanach. Staruszka była trochę głucha i nie wdawała się w rozmowę, pierwsza odpychając z łagodnym uśmiechem tych co ją przez litość bawili; zaraz też swoim zwyczajem odprawiła Stanisława.

— Idź asindziej do młodszych, nie męcz sobie gardła, ja tymczasem pognbione z twojej łaski oczka polapie...

Stanisław i Konstancja pierwszy raz w życiu znaleźli się sami... jemu gorąco serce bilo, usta się otwierały i zamykały; chciał powiedzieć wiele a zacząć nawet nie umiał.

— Jutro więc, odezwał się po chwili milczenia, jedziemy, dziś panią przyszedłem pożegnać. Długo myślałem, czy nie lepiej nciec bez tych uroczystych słów, którymi natchnie mnie smutek, alem nie potrafił; bałem się, żebyś sobie pani kroku tego nie tłómaczyła opacznie.

— Panie Stanisławie — odpowiedziała, śmiało mu w oczy patrząc — czy ci co szczerze się rozumieją i cenia, mogą się omylić w znaczeniu swoich postępków?

— Więc pani nie zwątpisz o mnie? więc wierzysz że... tego przywiązania, o którym jej nigdy nie śmiałem wspomnieć, nic zachwiać nie potrafi?

— Wierzę, odpowiedziała młoda kobieta, tak jak wierzę, że to przywiązanie trwać musi i do niczego prócz do zawodów nas nie doprowadzi. jeśli zechcemy mieć nadzieję.

— Jakto? mielibyśmy się jej wyrzec? gorąco przerwał Stanisław.

— Ja się jej nie wyrzekam, bom nigdy nie miała, zawołała stanowczo i poważnie Konstancja. Nie lubię się łudzić, nie chcę oszukiwać... tysiące przeszkód nas dzieli. nic nie może przybliżyć.

— Wytrwanie! wytrwanie! zawołał Stanisław.

— Ale na cóż nam nadzieje? — odpowiedziała mu z uśmiechem kobieta, nie jesteśmy tak niepewni siebie, byśmy ich koniecznie potrzebowali... Ja spokojnie patrzę w przyszłość, przebiegam ją okiem szybkim i po za nią przegląda mi świat inny, a tam coś lepszego od tej biednej pielgrzymki.

— O! nie! nie! i tu potrzeba mieć nadzieję.... ufasz mi?

— Zupełnie, i ufam sobie: są uczucia o które pytać się nie potrzeba, bo się malują we wszystkim, czem żyje człowiek... Takim jest nasze... Wszak to pierwsze słowo, a i to nie wiem czy było potrzebne, bośmy je dawno choć nie usta powiedzieli sobie.

— Jeżeli mi ufasz, miejże nadzieję...

— Nie! nie! wolę jej nie mieć. Ciężko, smutnie spłynęła moja młodość i odarła mnie zawczasu ze złudzeń, ja w ziemię i w ziemskie szczęście nie wierzę... mam coś lepszego. — Westchnęła. — Ale kiedyż się zobaczymy tutaj? dodała spokojnie.

— Nie wiem, odpowiedział Stanisław, to pewna że powrócę, przylecę, jak tylko mi pozwolą... a na długie chwile samotności...

— O! wiem czego pan chcesz, uśmiechnęła się płonąć Konstancja, ja bardzo lubię, ale się bardzo pisać boję. Słowo najprzód nigdy nie wypowie myśli... Napisać wszystko... straszno, trochę... nie dosyć... więc na cóż pisać?

— Żeby choć trochę wiedzieć co się tam dzieje daleko...

— To już rodzaj nieufności, ja tak wierze sobie i swojemu wybranemu, że listu nawet nie chce...

— To dobrowolne okrucieństwo!

— Więc piszmy, ale na Boga panie Stanisławie, niech to nie będą listy Julji i Adolfa, ani żadnych dwojga kochanków. Nie piszmy o uczuciach, bo te się nie malują słowem, a tracą rzucone na ten papier który je niesie nieproszonym oczom... piszmy do siebie jak przyjaciele, co pragną wiedzieć o sobie; ja o Warszawie, pan o wsi, o swoich, o sobie.

— Dobrze, bylebyśmy pisali.

— Będzie to rodzaj dziennika, nie więcej, a jeśli się tam wkradnie uczucie, nie będzie go przynajmniej w planie, przyjdzie chyba bez pozwolenia...

Długo tak mówili jeszcze, a rozmowa ostatnia byłaby się nie wiem kiedy skończyła, gdyby nie powrót Krombachów z gośćmi i zapelnienie salonu. Stanisław z pogodniejszą pożegnał ich twarzą i zniknął wkrótce; z ulicy spojrzał jeszcze na balkon, zobaczył na nim czarną postać i chustkę białą, zastanowił się, uciekł.

W domu zastał najosobliwsze zamieszanie, którego przyczyną po części był wyjazd, po części pan Bał, pragnący go przyspieszyć, a najniezręczniejszemu opóźniający. Mnóstwa rzeczy zamówionych brakowało, tych które były nie umiano zapakować, słudzy i państwo do dróg nie przywykli zapominali najważniejszych, brali najniepotrzebniejsze w zamian. Lizia chciała zabrać nuty, przybory malarskie, książki, pamiątki, stoliczki jakieś i ulubione kanapki, a na to wszystko miejsca się znaleźć nie mogło; pan Bał pakował Niesieckiego, sądząc


go bardzo na wsi potrzebnym, książki o ogrodnictwie i o gospodarstwie, worki nasion rozmaitych i wytworne narzędzia ogrodnicze. Pani Balowa napróżno mu przedstawiała, że bez filiżanek i talerzy obejść się nie potrafią.

Stanisław wcześniej małeńki akademicki przygotowawszy tłómaczek, któren lada gdzie rzucić było można, w pół ze śmiechem na wpół z żalem patrzył na tę zawierną zwabiającą tłumy ludzi.

W dwóch powozach mieli się pomieścić państwo, w jednym słudzy, a furgon wioził za nimi wszystko co nieodbicie było w pierwszej chwili potrzebnem. Zamówieni furmani mieli nieco później dostawić resztę sprzętów do Zakala.

Pan Bal w ostatku byle już wyjechać, na nic nie zważał, gniewał się, prosił, całował sługi, ścisnął furmanów, przemawiał słodko do furgonu chcąc go zmiękczyć, muóstwa się rzeczy wyrzekał, wiele innych wyperswadowywał.

W dzień naznaczony, zamiast o dziewiątej rano, ruszyli przecie o trzeciej z południa, przeprowadzeni przez Strumisza, zamyślnego, poważnego, ale nie okazującego po sobie, jak żywo go ten wyjazd obchodził, przez przyjaciół pocziwego kupca, krewnych jego żony i dawnych domu znajomych. Na Pradze odkorkowano jeszcze kilka butelek, pijąc zdrowie Bala i wiwat przyszłym jego powodzeniom; a powozy wiozące tyle westchnień i nadziei, potoczyły się o zmroku ku Miłosnej.



ROZDZIAŁ III.

Podróż do zaklętej jabłoni. do jabłka złotego.

Pierwszego dnia wszystko rozczulało podróżnego naszego, który rzadko wprzód za miasto wyjeżdżał, a nigdy na nim wieś takiego jak teraz nie robiła wrażenia. Zachwycał go wschód słońca, o którym słyszał z tradycji, ale go za kamienicami widzieć nigdy nie mógł; brzęk komarów jesiennych, w którym znajdował pewną harmonję; zapach wypalanych ogrodów nawet i zeschłych liści, który mu się wydawał wonią zachwycającą; cieszył się dzwonkiem kościółka odzywającym zdaleka, kłaniał przechodzącym ludziom z uprzejmą grzecznością, śmiechał do pokazujących wśród chmur lazurów niebieskich.

Nikt niestety tych jego uniesień nie podzielał prócz Lizy, która pomimo niespodzianego smutku, ciekawiła się na wszystko, wydała i której podróż wydawała się zajmującą zabawką.

Szło to wszystko jako tako dopóki byli w kraju ludniejszym i przywykłym do podróży, nie doświad-

czali niewygód, nie doznawali przeszkód, a że jesień nie była jeszcze dżdżystą, dosyć prędko dostali się do granicy.

Tu pierwsze spotkały ich nieprzyjemności, gdyż pomimo próśb, zaklęć i najrozmaitszych manewrów, na które się kupiec zdobywał, pomimo uprzedzającej jego dla najniższych urzędników grzeczności, rewizja czterech powozów odbyła się jak najściślej, mnóstwo rzeczy pokonfiskowano, inne wstrzymano. z obietnicą wysłania napowrót do Warszawy, a resztę trzeba było dobrze opłacić.

Pocieszając jednak żonę i córkę, gdy przebył granicę i znalazł się już wśród Wołynia, pan Bał zakrzyknął z zachwytem :

— Patrzcie co to za kraj! co to za kraj! co to za ziemia! co to za powietrze!

W istocie ziemia bardzo się pokazała tłustą. bo z błota jej wyleźć już było trudno, świeże deszcze zrobiły z niej rodzaj kaszy gęstej, w której ani utonąć, ani się z niej wydobyć nie było można. Jazda stała się męką piekielną; co krok potrzeba było stawać, dwa najmniej razy na dzień grzęznąć i wołami wyjeżdżać z kałuż, w które się końmi wjeżdżało; a w dodatku nocować po karczmach w których deszczu więcej było prawie jak na dworze... swąd, ciemnota i niesposób nawet pomieszczenia powozów.

Ale kiedy kto sobie raz postanowi widzieć co w różnych kolorach, co na to poradzić? Bał żartował z przypadków podróży, rozśmieszał żonę rozochocał ludzi, wynajdował sposoby z najzawilszych wydobywając się trudności, a nad tem co go otaczało wciąż się pomimo błota i deszczu unosił. W Łucku dowiedział

się przecie nieco dokładniej o drodze którą mu jechać było potrzeba, i że miał jeszcze dobrych mil dziewięć do Zakala, nie przenocowawszy więc w miasteczku, co-raz niecierpliwszy dążył do swego dziedzictwa.

W ostatnim miasteczku na chwilę zaciągnęło się było czoło jego smutną chmurką, ale i ta rozeszła się wkrótce; żyd bowiem na gospodzie zajezdnej spytany o Zakale, odpowiedział mu:

— Zakale? grafa Sulimowskiego?

— Dawniej grafa Sulimowskiego, a dziś sprzedane.

— Tak! tak słyszełim! a waj! gadali u nas że graf bardzo wziął za niego pieniądze i niezmiernie tego kupca oszukał.

— O! o! — zawarczał pan Bal. — Alboż to zły majątek?

— Ja jasnie panu powiem, odparł żyd poważnie się zbliżając; to bałamuctwo co gadają, to zły majątek, a to dobry majątek... Może być dogodny i niedogodny, a to co innego... ale zły! On tylko zły kiedy kupiono drogo, a kupiony tanio każdy on dobry.

— Masz wielką racją, panie gospodarzu, ale jakże mówią o Zakalu, urodzajny to przecie kąt?

— Przyznam się jasnie panu, że ja tego dobrze nie wiem, ale to pewna że w piaskach.

Piasek i ta wieść że został oszukanym, że Zakale kupione było drogo, trochę go zafrasowało, ale przez noc wrazenie się rozeszło powoli, powiedział bowiem sobie: Mam majątek, a gdybym i sto tysięcy kupując go stracił, no to co? Straciłem i kwita.

Nazajutrz rano wyjeżdżając już znown improwizował sielanki, którym choć jesienne nie sprzyjało powietrze, wyobraźnia dodawała barwy. W miarę jak się

posuwali ku Polesiu, natura chociaż piękna, smutniejszą przybierała postać; wesoły Wołyń wyciągał się równą płaszczyzną, błota przerzynały go coraz gęściej, bory sosnowe zajęły miejsce rzadszych co krok dębów, trakt wężał, droga stawiała się coraz gorszą, mosty niebezpieczniejsze, karczmy pustsze i zimniejsze. A że deszcze nie ustawały, coraz więc też powolniej jechać było potrzeba i gorączka pana Bala miała czas rozwinąć się do najwyższego stopnia.

Jednego dnia ujechali tylko mil trzy i zanocować musieli w lesie, w jednej izdebce lichej karczemki mieszcząc się ile ich było z mnóstwem chłopów i żydów. Dalej jechać było niepodobna, droga nieznaną, popsuta, noc choć oczy wykoł. wicher i ślota. Wszyscy cierpieli ale milczeli nie widząc na to sposobu, a skutkiem dokuczliwej już podróży, zaczęli równo z panem Balem pragnąć Zakala. On z synem przenocowawszy w powozach, pobudził nazajutrz raniutenko ludzi, spodziewając się że ostatecznie mil sześć zrobi jednym tchem i nocować będzie pod dachem Szujskich... ale mil sześć w takiej porze ciężkimi, obładowanymi powozami, nie tak się łatwo ujechać może i zaledwie cztery z największym wysiłkiem do późnej nocy, pozarzucawszy konie, od noclegu zrobili.

Szczęściem trafił się nocleg choć w dosyć nieporządknej i opustoszonej, ale bardzo obszernej gospodzie małego miasteczka poleskiego. Tu już o mil dwie o Zakalu najłatwiej dowiedzieć się było można; wszakże pan Bal miał tę ostrożność, że gorejąc chętką rozpytywania się, nie czynił tego przy synu i żonie, ale w kącik żyda zawezwał.

— Powiedz no mi mój kochany — rzekł ostrożnie

się oglądając, zasiadłszy na ławie w alkierzyku. —
Znasz ty Zakale?

— Jakto, coby ja jego nie znał, to dwie mile ztąd;
u mnie zawsze staje pan rzadca, odpowiedział arę-
darz. ale mówią, co jego graf sprzedał...

— Jakież to majątek? spytał Bal powolnie.

— No! a jaki ma być majątek? taki jaki oni tu
wszystkie... ot! majątek.

— Ale jakże mówią... dobry?...

— Wun jest i dobry, kiwnął żyd głową, rzadca wiel-
ki pan, on bogaty człowiek...

— A ziemia?

— Jaka ma być ziemia? zwyczajnie ziemia.

— Pszenicę tam sieją?

— Daj Boże, żeby tam żyto było!

— Chcesz mówić, że to jest więcej żytny majątek?
podchwycił Bal niespokojnie.

— Może to pan co Zakale kupił? uśmiechnął się
żyd podejmując jarmułkę.

— A no! zgadłeś, odpowiedział przybyły.

— Nu! to winszuję Jaśnie panu...

— Cóż kiedy mi nie chwalisz.

— Jakto ja nie mam chwalić? podchwycił żywo
izraelita... Cztery wioski! las! łąki!

— No! więc widzisz, z jaśniejszemi oczyma zawołał
kupiec, że dobry majątek.

— Czemu nie ma być dobry? przypochlebiając się
sąsiadowi zawczasu, odpowiedział żyd.

— A dwór porządny w Zakalu?

— Stary, wielki dwór, bardzo śliczny dwór! rzekł
znowu arędarz, czemu nie ma być porządny?

— Któż tu jest tak w sąsiedztwie?

- Jakto, w sąsiedztwie?
- Kto tn mieszka z obywateli w okolicy?
- O! tn jest gwałt panów obywatelów.
- Powiedźże mi choć kilkun.
- Naprzód... jest pan Mikas...
- Co to za nazwisko! Michał chyba?
- Może on i Michał... ale jego nazywają Mikas... co jest kolo magazynów turbatorem (kuratorem być miało), bardzo śliczny pan... on niedaleko mieszka...
- No! a więcej, tak z lepszych panów, bogatszych.
- Tn jest plipotent księcia, co do niego wszyscy jeżdżą...

— Ale z panów? niecierpliwie spytał Bał.
— Tn wszyscy panowie, co Jaśni pan chce?
— Tego to się widzę nie dowiem, rzekł w duchu kupiec, skłonił się i pośpieszył na drugą stronę.

— A co, kochana Ludwisiu, zawołał do żony, dowiedziałem się trochę o Zakalu. Żyd powiada że bardzo piękny, żytni prawda, ale żytnie są najlepsze, — majątek... dwór okazały, staroświecki, wielki, wygodny, rządca slysze ma się dobrze nawet. Co się tycze sąsiadów, o tych jakoś dowiedzieć się od niego nie potrafiłem, plótl mi androny.

Ludwika i Stanisław spojrzeli tylko po sobie, gdyż więcej już daleko od Bała wiedzieli, ale nie spieszyli ze smutną prawdą. Stanisław w Lucku jeszcze znalazł z kim się rozmówić o tem i nagiej dowiedział rzeczywistości. Zareczono mu że majątek, nie licząc kosztów których mógł wymagać, najmniej o dwakroć sto tysięcy został przeplacony; że ziemia była licha, gospodarstwo nakładów wymagające znacznych.

W najróżowszym humorze spędził tę noc pan Erazm,

tak oczekując ranka, jak tęsknił niegdyś za nabyciem majątku. O brzasku pobudził sam ludzi, począł pakować, gderał na kobiety, że zawsze marudzą i nie uspokoił się, aż wzięwszy przewodnika ruszyli nareszcie w drogę.

Chciał pospieszyć, ale błoto zmusiło go jeszcze do kilkogodzinnych niecierpliwości i słodkiego marzenia.

O wlos że się nie wywrócili parę razy i zjechawszy z szerszej drogi, stanęli na górze, z której już widać było z daleka Zakale, tak jakeśmy je czytelnikowi ukazali. Gdy wieśniak przeprowadzający biczyskiem na nie wymierzył, pan Bał wyskoczył w błoto, wołając: gdzie? gdzie? i pierwszy raz objął okiem to pożądanie dziedzictwo. Wszyscy aż do ludzi z ciekawością otworzyli oczy, powozy się zastanowily... i twarze powlekły wyrazem smutku. Jedna tylko promieniała.

— Pozycja wspaniała! majestatyczna! wołał nowy dziedzic, przepyszna! przeszła nawet oczekiwania moje... rzeka przypomina amerykańskie... cudna rzeka! bory pełne pierwotnej natury... kraj dziewiczy!

— Ale to smutne jak grób, zawołała z kolei pani Balowa.

— Moja duszko, uprzedzasz się! krzyknął w uniesieniu pan Erazm, na miłość Boga! nie czyń tego, bo ci się wszystko wyda czarno.

— A ty przeciwnieś się uprzedził, smutnie odpowiedziała żona; no siadajmy i jedźmy, bo i mnie pilno, jeśli nie odjechać to odpocząć.

Pan Erazm tak się umieścił w powozie, żeby mógł ciągle mieć na oku Zakale, które egzaminował, szukając starego wielkiego dworu i nie mogąc go znaleźć, choć od pół godziny nań patrzył. Przywykły do gma-

chów stolicy, dom wielki wystawiał sobie czemś nakształt Bryłowskiego pałacu, wyobraźnia jego dodawała bramy, stary ogród, obszerne budowy.

Spoglądał na czarniejącą kępinkę na przeciwnym brzegu rzeki i zmieścić mu się w głowie nie mogło, żeby to miała być jego przyszła rezydencja. Wioska za to ogromnym sznurem wyciągnięta, jak czarny wąż na piasku, w dumę go wzbijała.

Tak powoli dobili się po straszliwej grobli, która im się na zakąskę dostała i do promu. Prom spal... ledwie ludzi dowołać się było można.

Podróżni powysiadali mimo deszczu, ztąd już jak na dłoni było Zakale, wioski zasłaniały brzegi i zarosła, ale dwór stał na oku.

— Otóż i twoje pałace! odezwiała się z uśmiechem Ludwika, wskazując czarny, płotami ścięsniony, niepoczesny budynek.

— Ale nie, moje serce! śmiejąc się rzekł Bał. Chłopie, zawołał, czy to dwór w Zakalu?

— A to dwór, proszę pana, a cóż? odparł swoim zwyczajem poleszук.

Bał nic nie rzekł.

— Widzisz moja duszo, zebrał się po chwili, stare wiejskie dwory zwykle tak niepoczewie wyglądają, środek ich za to nadzwyczaj wygodny... Na wsi to się to na zewnętrzną fizjognomję nie zważa. Nikt tu od czasu Szujskich nie mieszkał! Ale zobaczysz jak ja ci to wystrychnę.

— A gdzie ogród? spytała Lizia.

— Ot przed dworem, rzekł chłop, co panienka widzi, gdzie osika i brzoza, a te sosny.

— A więcej?

— Więcej nie ma.

— Ty, tobyś zaraz chciała saskiego ogrodu! przerwał Bal, usiłując wszystko czego nie dostawało zalać. Zwyczajnie wiejski ogródek, ale co za widok z niego! Gdy się to zasadzi! urządzi! Zresztą w lesie, a las jest o trzy kroki, park można zrobić jaki zechcesz... choć milowy.

W miarę jak się przewożąc przybliżali, sam pan Bal mocno nczuł zawód, ale tego po sobie nie pokazywał, owszem usiłował tłómaczyć każdą rzecz na dobre, o ile tylko było można; żona się już tylko uśmiechała z tych próżnych jego wysiłków.

— Już to nie zaprzeczysz Ludwisiu, mówił żywo, że pozycja nie widziana. Jak tu stanie nowy nasz pałacyk! ogród! cudo będzie powiadam!

Lizia pokręciła główką, ruszyła ramionami, uśmiechnęła się z przymusem.

Bal spojrzał po twarzach, wyczytał na nich smutne wrażenie i począł się zżymać.

— To są ludzie, rzekł w duchu, co jak sobie raz powiedzą co. niczem im tego z głowy wybić nie można. Ale czas najlepszy radca. Zobaczymy.

Zjechawszy z promu, trzeba się było jeszcze tłuc po niegodziwej wazkiej grobelecze, po której od dawna żaden większy powóz nie przechodził, zalanej na wpeł wodą i poprzerzynanej dziurami niezgruntowanymi. Dalej drożyna wiodła pod górę stromą, ku temu krzyżowi, któryśmy wspomnieli. Ulica do niego prowadząca tak była ciasna, że szeroka kareta państwa Balów między plotami uwięzła.... chciano konie zatrzymać, ale powóz na dół się staczał unosząc polamane płoty za sobą... ludzie byli daleko.... ledwie sobie z tym przy-

padkiem radę dać mogli, który kobiety nie pomalu zastraszył... Słudzy jakoś przytrzymali karetę, a tymczasem posłano do dworu po posiłek. Bal chciał otworzyć drzwiczki, by co prędzej wybiedz, ale płot przytrzymał je mocno; dobył się więc bez ceremonji przez okno, wlażł na płot i stanął nareszcie na swej ziemi, na swoim dziedzińcu.

ROZDZIAŁ IV.

Wjazd do Zakala. — Installacja.

Rządca, którego śmieszną figurkę widzieliśmy, wybiegł naprzód ze dworu w butach, które go do wpół zasłaniały, wołając ku stodołę na ludzi, po których dwie kobiety pobiegły. Popłoch się stał we dworze nie do opisania; jakkolwiek żona pana rządcy nie wiele sobie ważyła nowo-przybyłych i mężowi to przekonanie wlać usiłowała, i ją trochę ten nagły przyjazd przeraził. Mały pan rządca nie wiedział co począć, gdy ku niemu przyskoczył przez burzany i ostry pan Bał.

— Kto Waćpan jesteś? spytał zdyszany.

— Ja jestem rządca tutejszy, Hilary Supelek.

— No, a ja jestem dziedzic Zakala mości Hilary.... ale djabli nadali, po co tu Waćpan taką wążką zrobiłeś drogę... karetą mi uwięzła, powóz się stacza, posyłaj po ludzi.

— Zaraz Jaśnie panie! w mig! zakrzyczał sadząc przez podwórze Supelek.

Pan Bal tymczasem przyglądał się dworowi i zabudowaniom.

— Prawda, że do djabła to wygląda mizernie! dom licha wart! ale widać bo w tym kraju lepszych nie ma, przez całą drogę takie same kletki widzieliśmy. Szanowny więc zwyczaj narodowy, przed którym skłaniam głowę. No! to się wszystko da przerobić! Ja tu wiodę z sobą cywilizacją! powoli, powoli, kraj ten inną postać przybierze. Ale prawda, że to coś nie smaczno wygląda; oj będziesz się Ludwisin naśmiewała.

Wśród tego monologu, ludzie ze stodoły ogromną nadbiegli zgrają, z gołemi lecąc głowami, a pan Bal powitał ich uśmiechniętym ukłonem, fizjognomje ich wydały mu się tak miłe i wdzięczne! kilka kobiet wychyliły się z sieni, spojrzal i rzekł w duchu:

— Co za boży lud! a z jaką na mnie życzliwością pogłada... i wita!

Plot trzeba było wylamać cały, a o nie wiele chodziło żeby i brama ofiarą nie padła, bo powóz ledwie się w nią mógł wcisnąć. Zawrót był trudny, ale z pomocą gromady, zajechali nareszcie przed dwór choć zdaleka, bo bliżej kłoda leżąca przysunąć się nie pozwoliła. W tej chwili zręczna żona pana rządcy, porwawszy na talerz bochenek chleba i trochę soli, wyleciała starym obyczajem powitać dziedziców.

Pan Bal tak był rozczulony tym obrzędem feodalne czasy przypominającym, że z łzami śmieci, brudów i ruiny nie dojrzał, a rozplakawszy się, pięć dukatów na miejscu chleba któren do piersi przycisnął, położył.

— Moja Ludwisin, rzekł, to rozczulające... to patryarchalne... to prześlizne... poruszony jestem do gruntu.... nie zważaj na drobnostki, ciesz się ze mną....

chodźmy do pokoiów. Proszę nam otworzyć pokoje! zawołał do uśmiechającej się chytry rządczyni.

— JW. pan zechce może wejść do nas, to tam...

— Wszakże są mieszkania, gdzie stawał hrabia...

— A! to proszę JW. pana. wielka ruina! odezwała się kobieta, graf rzadko przyjeżdżał, dawno nie był.... to się niezmiernie porujnowało, myśmy ledwie mogli swoje oblatać....

— Aleć przecie choć kilka pokoiów mieszkalnych! zafrasowany rzekł Bał; ja pisałem, żebyście państwo wyporządzili.

— Późnośmy list odebrali, a to tyle było roboty, bo sie graf wywoził ze stertami. ze wszystkiem, nie było sposobu.

— Jużciż gdzież się pomieścim, proszę no otworzyć!

Kłucze były w pogotowiu. Rządczyni poszła przodem, wszyscy za nią w milczeniu, klucz zaskrzypiał w zamku i smutne wejrzenie zdziwionego kupca zatrzymało się na beczce od pierza, pokrytej starą okiennicą.

— A! do diabła! wykrzyknął wstrzymać się nie mogąc... Ale tłumaczę sobie, dodał, powiadają że hrabia dawno tu nie był, nie znał stanu domu. To się to tak szybko rujnuje. Ale to pustka!

Lizia śmiała się na wpół z gniewem.

— Chodźmy-no dalej! rzekł pan Bał.

Weszli do drugiego pokoju, którego zresztą doskonale pierwszemu odpowiadał i milczeniem go zbyto, następne wydały się lepiej nieco, ale zawsze bardzo lichy.

— Cóż tu począć? rzekł dziedzic, tutaj niepodobienstwo zamieszkać, zwłaszcza jesienią; zobaczmy jak tam wygląda gdzie zamieszkuje pan Supełek.

Zwrócili się więc dosyć smutnie na przeciwko, ale już pan Bal odzyskiwał przytomność umysłu i przechodząc przez pierwszy pokój, rzekł do żony:

— Jakkolwiekbyś, w samej tej ruinie jest coś miłego, jest jakaś woń starożytności i wieków ubiegłych.

— Woń zgnilizny, szepnęła Lizia.

— Wiem, że mnie to do duszy przemawia, dodał kupiec. A potem, ciszej rzekł do żony, dom jest rzeczą najmniejszą, chodzi o majątek! to grunt!

— Ale gdzie się podziejemy?

— Nie bój się, musimy na to poradzić!

Przejdzie na drugą stronę czystszej wprawdzie, ale bardzo po gospodarsku urządzonej i wcale niepozornej nie wiele pocieszyło. Dla ludzi, jak nowo przybyli, do miejskiego wytworu i elegancji przywykłych, gdzieś lada krawiec ma salon okazańszy od najwykwintniejszego na wsi, wcale nowym był widok tych izb tak nagich, tak nie wiele białych, gdzie nic nie wstrzymało oka prócz prostych sprzętów i niepojętych dla nich przyrządów i narzędzi. Obeszli wszystko aż do czeladni.

— Ha! rzekł pan Bal odurzając się z bohaterskiem postanowieniem do Supełka, wynoś mi się Waszmość na folwark, czy gdzie ci się podoba, a my tu pomieścimy się tymczasem jako tako. Dziś zaś zaraz proszę posłać do miasteczka najbliższego po mularzy, stolarzy, malarzy, cieśli i kogo potrzeba do restauracji domu. Na zimę będzie skończony.

Supelek oczyma radził się żony, która dosyć kwaśną robiła minę.

— Ale proszę JW. pana, na folwarku stoi pisarz, gdzież my się podziejemy?

— Ja w to nie chodzę, widzisz Waćpani że i ja na

dworze zostać nie mogę. Ja, żona, syn, córka, przywykliśmy do osobnych pokojów, na to nie ma rady...

— Więc JW. pan zamysła tu zamieszkać? zapytała bojaźliwie rzędczyni.

— A cóż pani myślisz?

— Ja się tylko tem cieszę, odparła pierwsza, bo my tu sami temu wszystkiemu dać rady nie możemy, choćby się mąż jak starał; nie zawsze dziedzicowi można dogodzić, a tak będziemy spokojniejsi, jeżeli JW. pan nas utrzyma.

Pokora z jaką te słowa wymówione były, dotknęła do żywego serce pana Bała, uśmiechnął się.

— O tem potem moja pani, rzekł z miną pańską, to pewna, że kto mi dobrze służyć będzie, nie pożałuje tego... proszę najprzód zająć się spełnieniem moich poleceń... Panie Supełek ruszaj Waćpan do miasteczka natychmiast, jutro żeby mi byli rzemieślnicy... na wieczór powracaj, mamy z sobą do mówienia.

— Rzemieślnicy JW. panie, odparł wahając się rzadca, rzemieślnicy u nas nie ciekawi.

— Jacy są.

— Po lepszych chyba o dziesięć mił posyłać.

— Choćby o dwadzieścia.

— Ale gdyby i byli, to materiałów nie mamy żadnych.

— Jakich materiałów? spytał pan Bał.

— Ani cegły, ani wapna, ani drzewa, ani gontów.

— Ale mamy pieniądze, panie Supełek, brzękając po kieszeni rzekł pan Bał, to dosyć, wszystkiego dostaniem... proszę się wynosić i jechać.

Żona wybiegła do sieni za wychodzącym.

— Głupis serce, rzuciła mu w ucho, czy będą mie-

szkać czy nie, co nam szkodzi, że dom dla nas zre-staurują? Ruszaj, zamawiaj, kupuj, a nie zapomnij o sobie... mówił, że pieniądze ma, zapłaci dobrze. I te gouty nasze coś miał sprzedać żydom, sprzedaj jemn...

— A jak się wyda?

— No! to co! albo się wyplacę, albo go wyłaje i pojedziemy do hrabiego. Nie bój się, z taką żoną jak ja nie zginiesz. A teraz słuchać go potrzeba tylko, kiedy to lubi, a drzeć co wlicie; poczekawszy poddamy mu coś takiego że wyłeci.

Po tej króciuteńkiej naradzie, której sens główny zrozumiał Supelek, poczęto zaraz rugować wszystkich i wszystko ze starego dworu, uprzątać, zamiatać, czyścić, obijać, wykurzać, ogrzewać... Pan Bał zaglądał przez wszystkie okna i deszcz go tylko mógł wstrzymać od wycieczki po swem dziedzictwie, które gęroco poznać pragnął. Napróžno żona wskazywała mu co chwila jakiś zawód, jakąś nie miłą zawadę, lub coś co inaczej się znalazło niżeli mu obiecywano; pan Erazm niewyczerpany w pomysłach, wszystko miał wytłumaczyć na dobre i wymówić jako tako.

— Co się tyczy budowli, mówił, byłem uprzedzony że są liche. Hrabia jest bardzo sumienny, tego mi nikt nie wmówi, żeby mnie chciał oszukać. Mówił mi i powtarzał, że majątek potrzebuje nakładów, że jest *in grudo* (sic), na to byłem zupełnie przygotowany. Rzeczywiście tedy pójdzie z razn jak po *grudzie*. Dom lichy, stary, ale to jest miła ubiegłych wieków pamiątka...

— W której nam za kołnierz ciec będzie, dodała Lizia.

— Nic na mnie takiego wrażenia nie robi jak te szczęty... to są relikwie.

— A! mój Erazmie, jak się ty przesadzasz! uśmiechając się zawołała żona.

— Mijam to, ale położenie nie jestże zachwycające? Pomimo smutku i znużenia, pani Bałowa parsknęła śmiechem.

— Szkoda, że za chwastami nie widzieć nie można, a resztę płoty i bramy zasłaniają; naliczyłam bram tyle co w Tebach, kochany papo! zaśmiała się Lizia.

— Szydźcie! szydźcie zdrowo! zobaczycie co ja z tego zrobię! mruknął pan Bał.

Dzień zszedł na urządzeniu się w domu, na szukaniu wszystkiego co brakło. Stanisław w milczeniu ojcu pomagał, a że ciasno było w kilku izbach zajmowanych przez rządce, z ojcem razem przeniósł się do trochę schludniejszych pokoiów niegdyś zajmowanych przez hrabiego na drugiej stronie. Z izby, w której przedły wieśniaczki, zrobiono wspólny salon na przedce, którego Lizia doprawdy przystroić potrafiła. Firanki były w powozie gotowe, proste stoły ponakrywano oponami, sofy porobiono ze słomy i okryto dywanami razem z podłogą, a kilka lamp, obrazów i świecidełek w chwilę przybrały i nagle ściany i brzydkie białe przymurki.

Pan Bał wszedłszy aż ją uściskał.

— O to mi złota dziewczyna! zawołał, zrobiła cacko z tej stodoły! Na honor, to do niepoznania! To lubie, to dowód jenjuszki kobiety! Pokój śliczny... możemy gości przyjmować, choćby nam jutro przyjechali...

Dzień zszedł do wieczora na wyglądach i wywiadach przez ludzi, na pierwszym uścielaniu sobie życia, które trudno było uczynić wygodnem. Wszystkiego brakło, wszystko trzeba było kupować, hrabia ekscypując, tak dobrze wykscypował, co tylko z miejsca ruszyć się

mogło, że ściany tylko i dachy zostawił, kłódki nawet przy spichlerzu i lochu były pożyczane.

Ani jednej krówki w oborze, ani śmietanki do kawy, ani masła do kuchni, ani siana, ani owsa, ani chleba. Bał szepnął sobie po cichu: szalenie ekscypowali, ale zaraz dodał: to sprawa ludzi, wielki pan nie mógł się wdawać w te drobnostki... ale niemniej wszystko kupić będzie potrzeba... No! to się kupi!

Późnym wieczorem powrócił rządcą do Zakala, choć nie wiele wskóral w podróży, bo same obiecanki przywiózł od majstrów i posiadaczy materjałów. Gouty tylko dla pana Bała kupił drogo u pana Bała... Nim poszedł do niego, choć dwa razy po niego przysyłano, uaradził się wprzód z żoną.

— Słuchajno serce, rzekł, będzie się mnie ani chybi pytał o majątek, co ja mam jemu powiedzieć?

— Najprzód, Hilarcu, odparła głaszcząc go pod brodę, masz wielki rozum żeś się mnie zapytał... Powtóre, zwąchałam, że nie ani wsi, ani gospodarstwa nie rozumie, nie dziw, mieszkał w mieście całe życie.. Można więc mu będzie wmówić co się zechce...

— Ale pomiarkujmy no co lepiej i jak mu to mówić?

— Mój kochany, tu rzecz jasna, kiedy doktor przyjdzie do chorego, zawsze mówi że niebezpieczny; jeżeli go wykuruje większa wdzięczność. jeżeli umrze jest się czem wymówić... Rządcą zawsze powinien mieć na języku, że majątek nie nie wart...

— Oj! jaki to ty masz rozum lubeńko, pokręcił głową Supelek.

— Druga rzecz, odezwala się żona chodząc po izdebce z założonemi w tył rękoma, że nam koniecznie potrzeba ich zrazić, żeby tu nie mieszkali... Jak pojedą do

Warszawy, my tu zostaniemy panami, człowiek jakiś miękki, dobry, słowem go można rozbroić a nie się nie zna. Takich panów rodź Boże na kamieniu!

Rozśmiała się pokazując dość jeszcze ładne ząbki.

— Teraz już wiesz co masz robić, kłaniaj się nisko, Jasnie wielmożnego nie żaluj.. a co można tymczasem korzystać... Ot i krów im trzeba, dobrze swoje sprzedać, ale nie mów że to nasze, tylko że żydowskie; i żyta im sprzedaj z remanentowego. Na to i ty masz głowę.

— Oho! odparł Supełek rad z siebie i czupurząc się, już ja nam wstydu i szkody nie zrobię.

— Bo pamiętaj że musimy na naszą jedynaczkę pracować, żeby za lada chłystka nie poszła. a dotąd nie wiele się zebrało. Teraz nam żniwo.

Supełek podjął wąż do góry i poskoczył do dworu. Wszedłszy do salonu najprzód gdzie państwo pili herbatę, osłupiał biedak wydobywszy się zpod zaimprovizowanej portjery i obajrzawszy po izbie, której poznać nie mógł. Ta czarodziejska zmiana czeladnej w salon jakiego na wsi nie widział, oświecony lampami, wybity dywanami, pachnący i błyszczący, niesłychanie go przejął.

— Cóż to się stało? rzekł w duchu, ci ludzie pokój z sobą przywieźli!

Pan Bal uczuwszy, że niebezpiecznem być może rozpytywanie się szczegółowe przy żonie i córce, poprosił o herbatę do swego pokoju i wyszedł z Supełkiem, który wciąż sobie powtarzał: — Nigdybym nie poznał czeladnic!

Pan Bal usiadł na łóżku, rządca stanął przy drzwiach i zaczęła się rozmowa.

- Waćpan tu już oddawna jesteś?
- Lat dwanaście, Jaśnie panie.
- A więc znasz dobrze Zakalańszczyznę?
- Zdaje się, Jaśnie panie.
- Możesz mnie o wszystkim objaśnić?
- To pewna że nikt lepiej nie potrafi.
- Nadewszystko proszę Waćpana o szczerą prawdę, nie nie malować.... szczerą i gołą prawdę. Co to za majątek? o ile mogłem miarkować z inwentarzy, zdaje mi się bardzo dobry!
- E! już to Jaśnie panie, odchrząknął Supelek... w inwentarzu wszystko się ładnie wydaje, ale niechno zobaczyć przyjdzie na gruncie! Jam tu wyłysiał od gospodarstwa tego.
- To tylko pochwała gorliwości jego. — Wysiewy piękne?
- Tego roku ozimina licho poschodziła.
- Ozimina! przebaknął pan Bał, przypominając sobie znaczenie wyrazu, z którym się niedawno oswoił. A wiele posieliście pszenicy?
- Gdzież tu proszę Jaśnie pana siać ją, kiedy to szczyry piasek...
- Chcesz mówić glinka... trochę z piaskiem.
- Gliny u nas nie ma...
- Tak! ale ten gatunek piasku widać zowią gdzie-indziej glinką, dodał Bał. Supelek miał wielką ochotę się rozśmiać, ale się powstrzymał. Grunty więc piaseczkowate?
- Piasek, Jaśnie panie, szczyry piasek...
- Ale urodzajny! omloty piękne...
- Tak, bywa korzec, bywa i ćwierć, ale nigdy więcej.

Pan Bal nie zrozumiał, ale sie tem zaspokoił.

— Ale ziarno piękne?

- Czyste, niczego...

— A to grunt! dodał Bal. Łąk dosyć i na ługach slyszalem bywają zbiory pyszne, egypskie!

— Od lat dwunastu, jak tu gospodaruje, trzy razy tylko sieliśmy na ługach, i to nam woda pozabierała.

— A czemuście jej nie spuścili? O! zawołał pan Erazm z wymówką.

— Jaśnie panie, kiedy to rzeka zalewa! dusząc się odparł Supelek.

— A! rzeka! wiem że rzeka, żywo podchwycił kupiec, ale ją trzeba powstrzymać. Na to są nowe sposoby... kanalizacja! o!

— Coś nie rozumiem, szepnął sobie rzadca, musi to być z tych rozumnych gospodarzy, co mówią nowemi wyrazami, ale starych zbiorów nie potrafią wygospodarować.

— Siana jest dosyć?

— Tego roku łąki były pod wodą...

— Z tą wodą trzeba będzie coś poradzić, to się obmyśli. A młyny?

— Młyn tylko jeden Jaśnie panie.

— Jakto jeden? ofuknął się pan Bal.

— Jeden tylko idzie, reszta pozatapiaana i stare, że się na nic nie zdało.

— Mówili mi że potrzebują reparaacji... Aręda robi okolo siedmiu tysięcy?

— Siedm tysięcy! wykrzyknął rzadca dziwnym głosem...

— Jakto! nie robi tyle?

— Jaśnie panie, to chyba żarty!

— Ale jaż ci w inwentarzu pokażę, że tak mi ją podano.

Supelek stanął w zamyśleniu osobliwszem, nie mógł pojąć, jak śmiano tak już niegodziwie kłamać. A! rzekł w sobie, kiedy hrabia tak mu podawał, znać że można z nim zrobić co chcąc.

— A ileż robi aręda...

— Aręda z wielką biedą i z jednym młynem robi dwa tysiące.

— Dwa! ależ szła siedem!

— A! prawda! rzekł Supelek, było to jednego roku, kiedy jeszcze szły wszystkie młyny, i arędarzowi dodano ludzi do wyrobienia sta beczek smoły; płacił wówczas siedem tysięcy...

— A widzisz Waćpan! rzekł poważnie Bał, więc może iść i teraz siedem... i więcej.

— Ale już smoły nie można pędzić!

— Dla czego?

— Pni brakuje.

— Erazm zupełnie nie zrozumiał znaczenia, ale nie chcąc się kompromitować, dodał z cicha: Na to się poradzi! Jakaż, spytał, bywała intrata z majątku w lepszych latach?

— Przez tych lat dwanaście, co ja tu jestem Jaśnie panie, choć Bóg widzi że charuję i pracuję jak wół w pługu a ludzi nie żaluje... z flisami, ze wszystkiem jak będzie osiemnaście tysięcy, to już bardzo dobrze...

Pan Bał za głowę się pochwycił.

— Co mi Waćpan prawisz! brutto?

— Niech Jaśnie pan mnie nie łaje, bo cóż ja temu winien.

— Pytam czy *brutto*, czy *netto*?

Supelek nie zrozumiał.

— Osiemnaście razem, czy po straceniu kosztów? powtórzył wyraźnie kupiec, zbliżając się.

— Ale wszystkiego panie i ze smolą, z gontami, z drzewem, z flisem, het precz.

— To być nie może!

— Niech Jaśnie pan spojrzy w rejestra.

— Prawda! prawda! mówili mi że majątek *in grudo!* że potrzebuje nakładów, ale doprawdy nie spodziewałem się żeby był tak opuszczony.

— Już to Jaśnie panie, z cicha podszeptał rządcą, nie wiele tu i nakładem zrobić i głową, kiedy ten szelmowski piasek i nic więcej.

— Chcesz mówić glinka.

— Nie wiem dla czego Jaśnie panu to nazywa glinką, ale tu jej nie ma wcale.

— Glinka, powiadam Waćpanu... Na wszystko jest rada... nawóz, nowe sposoby; czytałem wiele o *guano*, sprowadzim *guano*, sprowadzim *pudrette*... musi rodzić..

Rządcą który jak żył tych wyrazów nie słyszał, zastanowił się, a pan Bał z uczynionego widocznie korzystając wrażenia, dodał żywo:

— Polepszenia na wielką skalę! sprowadzenie agromoma z Marymoutu, zakupienie bydła i owiec, gorzelnia, cukrownia, browar, w którym piwo bawarskie zrobimy! *guano!* płodozmian! majątek poprawi! Wiele jest gorszych po świecie... na to tylko głowy potrzeba!

Ten wykrzyknik był skutkiem czytania rozpraw agronomicznych, któremi się jadąc objadał w drodze pan Erazm i naturalnie nie znając nic praktyki gospodarskiej, chwycił tylko najostatniejszych teoryj.

— Gdzieżeś się Waćpan uczył gospodarstwa? spytał,

w Hoch... o! jakże się to nazywa ta szkoła... w Marymoncie, czy w Rosji?

— Jak? Jaśnie panie! nie umiem odpowiedzieć, zająknął się Supelek, ja?

— W jakim instytucie?

— Ja nigdzie nie byłem, skromnie odparł nareszcie Supelek, mój ojciec był rządcą, od młodu gospodarzę!

— A! więc tak, z praktyki tylko?

— Z praktyki, Jaśnie panie.

— Zuaszcze Waćpan plodozmian, nowe plugi, leśnictwo, uprawę rzędową, łąki sztuczne, i co rządcy potrzeba?

Supelek męszal się widocznie, bo nawet o co go pytano zrozumieć nie potrafił.

— A to do czego Jaśnie panie, rzekł, u nas zorać, posiać, z żydem się wyklócić, chama ostro trzymać... ot i cała gospodarka.

Nie trafiło to jakoś do przekonania pana Bala, ale nie chciał zrażać człowieka, którego potrzebował; rad był jednak że miał wyborną wymówkę na nieprodukcyjność majątku.

— To osiel, rzekł w duchu, nie nie umie, tu potrzeba gospodarza! będę go musiał odprawić; majątek *in grudo*, ale i człowiek podobuy. I oni tu chcieli co mieć! kiedy on gliuy nie rozróżni od piasku!!

Ostatnia wymówka zupełnie była niesłuszną, bo o glinę w istocie trudno było w Zakalańszczyźnie.

W czasie tego monologu, rządcą stał u drzwi pokornie, jakby przeczuwając znaczenie milczenia, pan Bał obrócił rozmowę.

— Rzemieślnicy czy są?

— Trochę dostałem, poobiecywali.

— Na jutro ?
— Nie.
— Jakto nie! muszą być na jutro!
— Jutro szabas, a to wszystko żydzi.
— No ale w niedzielę!
— Mam jednego mularza, stolarza i cieślę i gonty kupilem.

— A cegłę i wapno?
— Chyba o trzy mile.
— O! toś mi się Waszmość źle sprawił, więc jedź na całą noc... muszę ich mieć tych rzemieślników, żeby to Bóg wie co kosztować mnie miało... Rób pan co chcesz.

Supelek potarł czuprynę i zmilczał.

— Jutro, tymczasowie kupisz mi Waćpan pięć krów.
— Gdzie? Jaśnie panie.
— Albo ja wiem! gdzie się Asanu podoba, pięć pięknych krów tyrolskich, szwajcarskich, lub kalmagorskich.
— Tu są tylko poleskie i to na jarmarku.
— Ale to Waćpan mi robisz we wszystkim trudności, a ja tego nie lubię.

— Cóż ja poradzę?
— Na to głowa. radź sobie pan jak chcesz, a gdy mówię, że co ma być, trzeba żeby było. Na-lewshystko odkładywań nie lubię! Proszę także mi kupić krup, mąki, masła, zamówić mięso, drób', zwierzyne, rybę.

Rządca aż się uśmiechnął.

— Jaśnie panie, na to potrzeba czasu!
— Masz Waćpan całą noc i cały dzień jutrzejszy.
— Ale u nas to się kupuje w miasteczkach i tylko na targach lub jarmarkach, jutro szabas i szpilki nie dostanie.

— Przecież są rzeźnicy?

— Żydzi...

— Co mi Waćpan gadasz? wszystko żydzi!

— U nas panie wszystko żydzi.

— Rozkazać strzelcom żeby była zwierzyzna..

— Nie mamy panie strzelców, bo strzelać nie wolno.

Pan Bał osłupiał i Wstrząsł się.

— Co mi Waćpan prawisz! co mi prawisz? czemuż żyjecie?... A ryba?

— Ryba się teraz nie polawia, bo woda duża.

— Tfu! cóż u licha, z waćpana dziwny człowiek za-
prawdę! Ja się nie pytam co, jak, wolno czy nie wolno,
mała woda czy wielka, a proszę żeby mi wszystko było
jak kazałem.

To mówiąc trochę markotny pan Bał odprawił
rządę poważnem skinieniem głowy, a sam po chwili
namysłu wyszedł do żony.

— Trzeba ją nprzedzić, rzekł w duchu. mogę jej
audronów naprawić. Kobieta to weźmie do serca! A to
wszystko są bajki i plotki! Będzie tu za mnie inaczej.

Wszedł do pokoju z rozweseloną twarzą.

— No kochana Ludwisiu, rzekł, nie ma co mówić,
hrabia mnie nie zwodził, majątek rzeczywiście *in grudo*.
ale nie dziw! Stan istotnie okropny, opuszczenie nie-
słychane, a rządcą ani be ani me! Wystaw sobie, wy-
brali na rządcę człowieka, który w żadnym instytucie
nie był, płodozmianu nie rozumie, osieł nad osłami, a
tu potrzeba silnej ręki i głowy.

— I kieszeni, kochany Erazmie, dodała żona.

— A tak! ale to się wszystko powróci setnie... Zo-
baczycie co zrobię z tego majątku. Cieszę się, istotnie
się cieszę, że w tym stanie zastałem Zakale, bo po-

każe im tu jak się gospodaruje i co z tego majątku zrobić można!

Pani Bałowa ruszyła ramionami tylko.

— Jesteś niezwyciężony, rzekła z uśmiechem.

— A tymczasem spać, odezwał się kupiec, czując znużenie i strapienie do którego się nie przyznał. Dobrej nocy.

Że deszcz jesienny na dworze coraz gęstszy się puszczał, niespodziankę zastał w sypialnym pokoju pan Bał, bo woda na gorszej połowie domu do pokoiów szła przez dach jak z cebra. Musiano podstawiać co gdzie się znalazło, niecki, miski, miednice i nosić się z łózkami, które ledwie ustawiono w suchym kącie, jakby na złość poczynąło przeciekać.

— Kupilem już gonty, mówił sobie pan Erazm, dach najprzód pokryję, a te drobne wiejskie niewygódki będą mi później miłym wspomnieniem tylko.

Tymczasem rządcą, który zręcznie podsłuchiwał rozmowę pana Bała z żoną i dowiedział się z niej, że był osłem, pobiegł niespokojny na folwark.

— Otóż masz, zawołał stając przed piękną uśmiechnioną połowicą, podobnośmy przeskoczyli.

— Co takiego?

— Zacząłem mu ganić majątek, bo taki prawdą a Bogiem nie wiele wart, zżymał się niezmiernie.

— A! niech się zżyma...

— Kazał mi żeby wszystko było, nie słuchając racji!

— Cóż to znowu! fanaberja jakiś! chce żebyśmy go słuchali! Jużciż graf lepszy od niego, a tyleśmy mu tylko robili, co się nam podobało!

— Ba! ale posłuchaj no dalej! namarszczył się na

mnie, począł mnie o takie jakieś rzeczy pytać, o których jakem żyw nie slyszalem... pleść coś o jakichś nowomodnych gospodarstwach... i poszedł. Ja w trop za nim podedrzwiałem... słucham, a ona żonie powiada najwyraźniej: rządcą osiel! trzeba go odprawić!

Pani Supelkowa tylko się uśmiechnęła.

— Oddamy my mu za tego osła, szepnęła po cichu. Trzeba go odprawić! to można powiedzieć, ale ciekawam jak to zrobi? Albo się tu może obejść bez nas? nic nie zna, nic nie wie... Otóż kiedy tak, to mu jutro podziękujesz za służbę. Patrzajcie go! Że zebrał trochę grosza świeczki sprzedając, już myśli że wielki pan! Dam ja ci osła!

— A jak ja mu podziękuję, to co? spytał Supelek.

— To on cię nie puści.

— A gdyby puścił?

— To jutro odwoła, bo sobie rady nie da.

— Oj! duszko niebezpiecznie! niebezpiecznie! zaraz mu się tu ktoś nastroczy.

— O to się nie frasuj, niedopuszczim... i odmalujemy go dobrze przed ludźmi... Rób co ci mówię, a więcej o niczem nie myśl... jutro mu za służbę podziękujesz.

— Kochauku! a jak nas wyrzuci?

— Ou! co tobie? prędzej my jego ztąd! śmiej się z tego, na wszystko są sposoby.

To mówiąc zostawiwszy męża dosyć skłopotanego, poszła do córki.

ROZDZIAŁ V.

Przejażdżka po Zakalan'szczyźnie.

Szczęściem dla niespokojnych żądz pana Erazma, nazajutrz rano wypogodziło się niebo, zaświtał piękny dzień jesienny, wyjątkowy, którego przy drobince egoizmu można było wziąć za umyślnie dla oglądu Zakala stworzony. Bal nawet nie był dalekim od tej myśli, która mu się uśmiechała.

W mieście jeszcze będąc, wcześniej przygotował sobie wiejskie ubranie do pola i gospodarstwa stary nasz kupiec i o niczem nie zapomniał; wszystko było wyborne i przedziwne, buty angielskie grube i nieprzenikliwe dla wody, losiowe ubranie dolne, dobra kurtka, pokryta płaszczem z gummą elastyczną, kaskiecik à l'anglaise, laska, torebka z palonej skóry, nawet zegarek do przechadzki, pugilaresik do notat przepomniane nie były. Tak odziany z cudzoziemska i wcale rad z siebie, pan Bal kazał zaprządz do wózka i oczekiwał tylko na rządcę, który go miał oprowadzić, gdy Supe-

lek wcisnął się do izdebki, stanął niedaleko progu, sklonił się jakoś dosyć kuso i nie pytany począł:

— Przyszedłem do Jaśnie pana prosząc, żeby był łaskaw mnie uwolnić: widzę ze wszystkiego, że ja Jaśnie panu dogodzić nie potrafię...

Pan Bał osłupiał.

— Co? zapytał, jakto?

— Proszę o uwolnienie mnie, powtórzył rządcą.

— Co to jest? dla czego? Waćpan nie miałeś czasu przekonać się, czy możesz lub nie być mi dogodnym, ani ja czy z niego będę kontent... cóż za powód tak nagły?

Rządcą się nachmurzył.

— Tak, proszę pana, mam inne zamiary. Chcę gdzieś indziej szukać szczęścia.

Stary widocznie był zmieszany i już miał począć prosić Supelka, gdy drzwi się uchyliły i wszedł Stanisław, który wszystko słyszał. Oczy jego wcześniej dopatrzyły więcej niż ojcowskie, pojął potrzebę wsparcia ojca i niedozwolenia, żeby sobie z niego robiono igraszkę. —

— Za pozwoleniem papy, rzekł oddając dzień dobry, słyszę, że pan rządcą chce się uwolnić.

— Właśnie, podchwycił ojciec, ni ztąd, ni z owąd wpadł mi, kiedy go najwięcej potrzebuję, z tą propozycją....

— Ale dla czegożbyśmy tego pana uwolnić nie mieli, odparł Stanisław do ojca, tymczasowo znajdziemy w pisarzu i leśniczym, po których posłałem wcześniej, dla oprowadzenia papy pomocników; pan Supelek jeśli chce, może gdzieindziej szukać sobie szczęścia, papa mu drogi do niego zagradzać nie będzie. Są tylko rzeczy, które

się wprzód powinny dopełnić, trzeba zdać registry, remanenty jakie nam podano, porządnie wszystko skończyć i wynieść się zresztą kiedy się podoba.

Bal uśmiechnął się z ukontentowania, a rządcą zmieszał z kolei.

— Tymczasem pisarz i ja, kiedy mi ojciec pozwolisz, zastąpimy pana tego, miejscowości nie znam, ale tej się nauczę rychło i damy sobie rady.

Ton żartobliwy jakim to mówił Stanisław, zastraszył Supelka, który, że instrukcje żony nie przepisywały mu, co miał czynić na taki raz, zamilkł, uklonił się i wyszedł.

Bal uściskał syna.

— Kochany Stanisławie, chcę objechać majątek, posłać istotnie po leśniczego i pisarza?

— Oba czekają, kochany ojciec.... ja też kazalem sobie konia osiodłać i pojedę razem.

— Otoś mi gracz! otoś mi kochany! zawołał ojciec, dobrze! pojedziemy! a wózek dla mnie jest?

— Wszystko gotowe....

W tej chwili weszli: pisarz, cienki człowieczek, który wyrósł zbyt znacznie i jako jasny blondyn zdawał się mieć skłonność do melaancholicznych miłostek, które nawet rozpoczął był już z rachityczną Delcią, córką państwa Supelków, a z tego powodu duszą całą ich sprawie sprzyjał; i tęgi, barczysty, zdrów jak wół, z wąsami na pół łokcia, łysiną trochę już przeświecającą się leśniczy, pan Józef Krużka. Z twarzy ostatniego, patrzała pocziwa gadatliwość, coś nprzejmego, sympatycznego, jakaś prosta rodzinna szlachetność. Ubrany w długie buty, w spencer z lisami, szarawary skórą wyszywane, z harapem przez płozy i torbą na ramio-

niu, przewybornie przedstawiał stan do którego należał. Obok niego stojący, wysmukły w surduciku opiętym, z włosami *à l'enfant*, bródką i wąsikiem, pisarz, miał minę narysowanej na ścianie karykatury.

Pisarz twarzą i postawą wyrażał nienkentowanie, dumę, wyższość jakąś... i glupstwo. Leśniczy był trochę drwiący dobroduszuie. Oba sklonili się panu Bałowi, każdy na swój sposób, pisarz poprawiając włosy szacowne, leśniczy pokręcając wusa i stając zaraz w pozycji niemal żołnierskiej.

— Panowie, odezwał się Bał, miło mi ich poznać i powitać; wiecie zapewne, że jestem nowym dziedzicem Zakala?

— Przyszliśmy złożyć nasze uszanowanie JW. panu, rzekł donośnie leśniczy i spytać o rozkazy.

Pisarz się nśmiechnął zakrywając ręką.

— Najpierwsza rzecz, rzekł Bał, przypominając sobie odprawę Supelka, niech mi pan pisarz przyniesie tu wszelkie rejestry ekonomiczne, inwentarze, raporty i papiery, proszę o nie.

— Czy zaraz? spytał młody człowiek.

— Natychmiast! poparł Stanisław.

Pisarek ruszał ramionami i wyszedł, leśniczy się za nim obejrzał, westchnął.

— A Waćpan, rzekł do niego Bał, zechcesz mnie oprowadzić i obwieść po Zakalańszczyźnie, boć ją musisz znać dobrze.

— Oj! oj! oj! Jaśnie panie! rzekł Krużka, jak moje dziurawą kieszeń! pokażę, nie chwając się, lepiej od Supelka, który ponieważ się oddala, mogę powiedzieć, że Borowicy i Nowin tak dobrze jak ja nie zna, choć tu dwanaście lat królne!

Staś się uśmiechnął. — A pan tu dawno?

— Ja! jam się modził, wychował i zapewne tutaj umrę, dodał Kruźka, w którym się już pasyjka do gadatliwości przebijać zaczynała. Rodzice moi mieszkają na czyszu w Nowinach, ja służyłem trochę wojskowo, a ranny zostałem na Zakalańszczyźnie leśniczym, i że dzięki Bogu, jakoś dotąd ze mnie ludzie radzi, może i dalej tak będzie....

— Jak Waćpan myślisz? spytał Bal przystępując do niego, co to się stało rządcy, że chce się oddalić, nim mnie poznał?

— Tego nie zgadnę, rzekł otwarcie prostując się Kruźka; to Jaśnie panie robota nie jego, ale żony, która, z pozwoleniem pańskim, nie przy panu mówiąc, dawno mu spodniczke skroila... To kobieta co się zowie! ona i... tu się przyzastanowił, ale tego mówić nie należy...

Pisarz nie powracał, Bal się niecierpliwił, nareszcie wszedł.

— Pan rządca, proszę Jaśnie pana, potrzebuje regestrów, żeby się przygotować do zdania.

— Powiedz mu pan, odparł Stanisław, że registry później do zdania służyć będą, a teraz powinny być tu...

— I pamiętaj pan, dodał Bal, że rządca jest tylko rządca, a ja jestem dziedzic, proszę mi przynieść papiery...

Zaczerwienił się błądy adonis.

— Ja także, rzekł, proszę Jaśnie pana o uwolnienie, mam rodziców dostatnich i tylko dla wprawy nie z potrzeby zajmowałem się pod dyrekcją pana rządcy, a ponieważ on...

Pan Bal aż zbladł, ale Stanisław nie odstępował go szczęściem.

— I owszem, rzekł żywo, proszę o papiery, a uwolnienie natychmiast nastąpi.

Krużka patrzący na to z boku, przez politykę słowem się nie odezwał, póki pisarz był w pokoju, ale gdy wyszedł rozśmiał się.

— To Jaśnie panie, rzekł leśniczy, cały interes, że chcą żebyś ich pan prosił. co się nie godzi, a potem myślą jeździć! Niech ich państwo nie wstrzymują... ale proszę mnie nie zdradzać... ja się ich jak diabła boję.

— A cóż oni Waćpanu zrobić mogą?

— Co? zawołał Krużka... to ludzie co mają w kieszeni wszystkich, w przyjaźni z całym światem... asesory, strażczowie. co żyje w stosunkach. Sąd niższy... nawet w gubernji krewnych mają!

Staś się rozśmiał.

— Dobrze się Jaśnie panu śmiać, odparł leśniczy, ale i państwu oni jeszcze na odjeździe nie jednego piwa nawarzą.

— Nam! zakrzyczał Bał.

— Ba! ale to niech nie zastrasza! Gospodarstwo kłopotarstwo, Jaśnie panie, a nie tylko same gospodarstwo, ale co tylko się go dotyczy.

Pisarz wpadł wlokąc za sobą zaperzony dwóch ludzi, którzy nieśli stosy papierów.

— To wszystko? — spytał Staś.

— Jeszcze jest drugie tyle.

— Prosimy i o tamto, rzekł Bał, przyjedzie rachmistrz do obrachunku. zdasz mu pan wszystko i będziesz wolnym.

Gdy się to dzieje we dworze, na folwarku istne piekło! Piękna rządczyni łąje męża, mąż do ostate-

czności przywiedziony odcina się, jak zając gdy go już psy chwytają, Delcia płacze i tupie nogami, słudzy latają, a pan pisarz, któremu rozkazano się do dymisji podać, posłuszny drży ze strachu i z gniewu, gdyż był pewien że go prosić będą ażeby pozostał.

— Pan Bóg mnie pokarał tym głupcem, woła latając po pokoju rządczyni, ani do tańca, ani do rożniaka, gdzie chcesz go użyj wszędzie głupstwo zmaluje...

— Samaześ mi jejmość kazala w swej wysokiej mądrości prosić o uwolnienie.

— Tak! a tyś tak się postawił, że cię poczęstowano kolanem; coś był powinien podrożyć się tylko żeby jeszcze bezpieczniej zostać, toś się pospieszył... co to mówić! co to mówić.

— Ba! gdybym ze starym tylko miał do czynienia, płaczkliwie odciął się Supełek, ale tam młody przyszedł, lichy go wniosło i szyki pomieszał... Cóżem się miał sam prosić...

— Jaki młody?

— A syn! to jakiś fraut! ostro kuty.

— Czekałże stary harbuzie i ty młody paniczku — krzyknęła żona, będziecie mieli oba za swoje. pokażę ja wam jak nas ztąd wyganiać. Każ Waćpan zaprzęgać mi do bryczki.

Supełek rad że się wyrwać mógł, poleciał.

Do pokoju pana Bała znieśli wreszcie papiery, a w pierwszej chwili pośpiechu i gniewu tak nieostrożnie się znaleźli, że co do świstka wszystko złożono w rece dziedzica. Pisarz wyszedł na róg domu, załamał ręce, zapatrzył się w ziemię i dumał o dalszych losach.

Pan Bał uradowany że mu syn przyszedł w pomoc

tak skutecznie, poszedł żonę pożegnać i siadł na bryczkę niecierpliwą objeżdżać swe państwo. Staś i Krużka towarzyszyli mu konno.

— Proszę no pana, rzekł leśniczy, zastanawiając się zaraz przy pierwszych wrotach i kręcąc węża z powagą, niech mi wolno będzie wiedzieć intencję Jaśnie pana: Czy pan życzy sobie objechać dziś wioski i ogólnie obejrzeć Zakalańszczyznę, czy tylko granicę, czy nareszcie zechce powoli dokładnie, z kolei porządkiem rewidować wszystko? Mnszę bowiem Jaśnie pana przestrzedz, że co ma najlepszego ten majątek, to rozległość, prawda ziemia niekoniecznie, las djabli wzięli, ale hulać jest gdzie. Służyłem ja panie w wojsku i pamiętam jakieśmy się po Niemczech włóczyli, bywało nie jedno księstwo niemieckie ledwie rozpędziwszy się człek by nie przeskoczył, ale tu!

Pan Bał rozśmiał się tak serdecznie, tak radośnie, a tak był porównaniem uszczęśliwiony, że gdyby był mógł, byłby leśniczego z wózka porwawszy się uściskał.

— Jak pan się zowiesz? spytał.

— Józef Krużka! Jaśnie panie. Józef Krużka.

— No, więc panie Józefie, zacznijmy od ogólnego oglądu, a potem szczegółowy.

— Dobrze więc, czy w lewo czy w prawo?

— Zawsze w prawo! odezwał Bał, śmiejąc się.

Wózek potoczył się tedy po piasezystej drodze do Borowicy. Po drodze Bał całą uwagę zwrócił na to co go otaczało; pytał nieustannie. Minęli zasiewy ozime dosyć licho zieleniejące na piasku, potem wydmy, las krzakowaty mizerny, grobelkę okropną i w dali pokazała się Borowica, także nad Horyniem jak Zakale i Ciemierna położona, ale na wyższych jeszcze nie upra-

wnych, smutnych pagórkach. Po nad nią ogromne krzyże stare i czarne wyciągały ramiona jak na Golgocie, dalej cerkiew czarna, wielka, górowała na końcu siola, a w środku jego siedziała karczma zrujnowana, na wpół pusta. Drożyna przechodziła środkiem szeroko zabudowanej wioski, która nie będąc przeciętą żadną drogą, a lasami i rzeką odgradzona od ludzi, miała postać dzikszą od innych. Zdziwił się pan Bał postrzegłszy ten lud który tak sielankowo wyobrażał, w lachmanach czarnych, w koszulach brudnych, kobiety okropne, rozczochrane, dzieci niemal nagie, starców do żebraków podobnych i to wszystko niekające na sam turkot wózka, kryjące się po chatach i za plotami.

— Ha! ha! rzekł w duchu, wprowadzimy tu cywilizację! Gdzież są młyny? zapytał.

— Na prawo, nad rzekę do młynów, zawołał leśniczy. Wózek potoczył się ciasną drożyną zarosłą i doprowadzając że nie bardzo uczęszczano tedy, a nareszcie stanął na grobelce. Stały przy niej dwa młynki na rzeczce, która tu do Horynia wpadała, ale jakie! któż to opisze! Stawek małeńki od dawna wyrwało, grobli były tylko kawałki, a dwie te budowle co się nazywały młynami, już ledwie na palach wisiały. Jeden oparł się o groblę, dach mu wiatr zerwał na wpół, kół tylko drgały skielety, drugi pustka roztwarta, bez ścian, bez dachu, kilką tylko słupami świadczył o swej egzystencji dawniejszej.

— To młyny, rzekł Krużka wskazując i czując potrzebę komentarza.

— To młyny? powtórzył Bał zdziwiony, prawda, że *in grudo*. — No! nie ma tu co patrzeć, jedźmy dalej!

Już się wózek zawracał, gdy cała czereda żydów zastąpiła mu drogę, nisko się kłaniając. Na czele ich szedł stary siwo-brody Moszko Hercyk, rękę za pas założywszy, w żupanie na prędcie włożonym, jedwabnym, z okładami aksamitnymi, poważny, chudy i widocznie uczony, bo blady i wywiedły. przy nim stała gruba żydowica Sure Moszkowa Hercyk. o której tyle tylko powiedzieć mogę, że wyglądała jak bania gorzelni w której dawniej pędzili. Za niemi szedł Icko Moszkowicz Hercyk. żyd blondyn, żupan wełniany, broda czarna, mina głupowata i bojaźliwa, potrzęsający czapką i cofający się w tył gdy się kłaniał. żona Icka Ryfke, drugi syn Moszka Dawid, trzeci syn Mejsza; żony Dawida i Mejszy, dzieci Icka, Dawida i Mejszy, słowem cały kahal.

Zaiste ukłony jakimi przywitali starozakonni nowego dziedzica, winny mu były wiele doznanych i zgottowanych niesmaków nagrodzić! Witali go jak królika. Pan Bał powstał na wózk. zdjął czapkę i przywitał ich z kolei nadzwyczaj grzecznie, ale że przywykli byli do hrabiego drwin. przekasów i łajań i nie spodziewali się nawet żeby im głową kiwnął, stary Moszko wziął to za szyderstwo. Przywykły znosić wszystko, zbliżył się do wózka i powitał ucałowaniem ręki pana Bała, który się cały zczerwienił i zmieszał.

— Jaśnie pan nie zechce wstąpić do nas — rzekł Moszko poważnie — nie mamy go czem przyjąć, ale czytamy w Biblji, że największych gości nasi ojcowie przyjmowali chlebem, wodą i owocem...

— Dziękuję ci panie...

— Moszko Hercyk do usług.

— Dziękuję ci panie Hercyk, ale spieszę, chcę obej-

rzec Zakale.

— Mamy tylko jedno polecenie do Waćpana — dodał Stanisław — ponieważ rządca i pisarz już nie są w naszych usługach, prosimy nie za ich kwitami nie wydawać.

— Ale, ale — rzekł Bał — przypominając sobie że mu mówiono, iż tu wszystko się robi przez żydów, a nie mógłbyś mi dopomóc panie Moszko Hercyk...

— Co Jaśnie pan rozkaże, zbliżając się rzekł stary czystą polszczyzną, jeśli potrafię, co potrzeba?

— Ale ba! wszystkiego mi potrzeba! zawołał pan Bał, dom najprzód naprawić i wyporządzić, bo w nim mieszkać nie mogę, a potem jeść i pić nie można dostać!

— JAKO nie dostać! ujmując się za swój kraj zawołał żyd, wszystkiego!

— Zapłacę dobrze.

— Tem bardziej! a któż mówi że nie dostać nie można?

— A któż? dawny rządca! potrzebuje krów, zboża, rzemieślników...

— Wszystko będzie! powoli! wszystko będzie! dodał żyd gładząc brodę z uśmiechem, ale dziś szabas... po odejściu szabasu przyjadę do dworu...

Chciał coś mówić jeszcze, obejrzał się, namyślił, zamilkł i skłonił tylko.

Wszyscy żydzi na ten sygnał patryjarchy skłonili głowy. Icko czapkę podniósł wysoko i potrząsł nią w górę po trzykroć, wózek się potoczył dalej.

— Ale to jakiś bardzo pokąźny ten pan arędarz i ma minę uczciwego, rzekł pan Bał.

— Bo też to Jaśnie panie, odparł rad że się wygada

Krużka, to perla żydów, to najmędrzy na okolicę... i trzeba dodać, że choć żyd, ale doprawdy bardzo poczciwy! Handlował dawniej drzewem i smołą, cofnął się potem coś straciwszy, ale jeszcze bardzo bogaty. Mógłby mieszkać w miasteczku, ale że jego familja już od trzechset lat w tej karczmie żyje, przywiązał się do kąta... Nikt lepiej prócz swoich panu nie usłuży jak on! On tu okolicą trzęsie, co zechce to zrobi...

— No! to widzę drugi Supelek.

— Gorzej panie! bo rządcą się go nawet boi trochę; byli z sobą na bakier, teraz na polityce... jeden na drugiego przez szpary patrzył.

— Cha! cha! rozśmiał się pan Bal. widzę i tu są intrygi!

Tymczasem wyjechali z wioski, która się dosyć długo ciągnęła, pokazało się znowu żółtawe pólko, obwiedzione lasami i zaraz za mostkiem przez rzeczkę rzuconym, na któren ledwie się do góry windując wydobyla bryczka, tak że kupiec oburącz trzymać się musiał by nie zlecić, co go bawiło niezmiernie, wyjechali w piasek i lasek.

Najprzód krzaczki, potem młoda sośninka, potem gęszcze, szeroka droga zwęża się, kręci, zapada w doły, zrywa na wzgórki wydmiaste, gdzieś niegdzieś krzyżyk wywrócony, mogiła chwastem pokryta, poprzeczna ścieżka... jadą i jadą w zielonych ścianach.

— Ot! to moje panowanie — odezwał się leśniczy — jest tego panie, tych lasów milami...

— I piękne lasy? spytał Bal.

— Było to kiedyś! westchnął Krużka, ale teraz żał się Boże! o masztach tylko ludzie mówią jak o żelaznym wilku, belki lat piętnaście jak już wyrobić tru-

dno, murlaty nawet wycieto, puie wypędzono na smołę, tylko że młodzież się puszcza. Ale żal spojrzeć!

— Jakto? las tak wyniszczony?

— Ze wszystkim! hrabia sprzedawał a sprzedawał, a co sprzedał kopę, to wyszło półtorej... głnili ludzie, palili, rwali, kradli i zrobili z tych puszcę... djabli wiedzą co! ni to las, ni to pole... ementarz panie...

— No! ale choć smoła? spytał kupiec.

— A zkad? a z czego? pnia pocziwego nie zostawili... do ostatniego powyypywali! Trzeba sto lat czekać, żeby drugi las wyrósł!

— O! do djabła! mruknął Bal. a potaż?

— I potaż już palili; potem tu sosniiny najwięcej, a ona na to nie potem...

— A towaru nie? powiadasz.

— Gdzie tu towar, kiedy o krokiew dobrą trudno!

Dziedzic przypomniał sobie ową maleńką dyferencją z Radziwiłłami.

— A gdzież to — spytał — ta dyferencja Radziwiłłowska?

— To panie z przeciwnego końca — odparł leśniczy — na drugiej stronie. To straszny lasu kawał, aż miło...

— Maleńki slysze.

— Ba! ba! trzydzieści wlok najcudniejszych sosien.

— Czy to być może?

— Tak Jaśnie panie! ale co nam po tem?

— A jeszcze to nasze!

— Słaba nadzieja, hrabia sie prawował, prawował i tyle tylko, że ile razy Radziwiłłowscy w las wejdą, to my swoich spędzim i siekierą nderzyć nie damy... już to lat sto trwa... miały sosny czas do góry pojechać...

Ani im, ani nam!

— To się skończy!

— Daj Boże! tymczasem pilnować potrzeba, bo jak się o nowym panu dowiedzą, pewnie poślą do Żubrańca...

— Cóż to Żubraniec?

— Tak się panie zowie nroczyisko gdzie dyferencja...

I tak mówiąc, jechali a jechali lasem, a las pożal się Boże tego nazwiska, chory się zdawał na suchoty i wyglądał smutno, biednie, nieszczęśliwie... Co kilkaset kroków, musieli po najszkaradniejszych mostkach przebywać rzeczkę, która się kręciła między Nowinami dokąd dążyli a Borowicą. W końcu gdy pan Bał już niecierpliwie się poczyniał i konie zacinąć kazał, wyskoczyło półko, pokazały się czarne dymiące dachy wioski, śliczny jodłami zasadzony ementarzyk wiejski i gruszami objęte siolo. Wiosieczka ta i osada szlachecka, to jest Budki, przedzielone od siebie ową rzeczką tylko, położone były na skraju lasów, na wybrzeżu lepszej ziemi i miały pozór weselszy. Między sosnami gęściej przebiegały się dębezaki choć krzaczyste, brzozy i graby. Na półku lepiej zieleńiały żyta, maleńkie stóżki zboża z żółtymi czapkami sterczały tu i owdzie.

— A tu ładnie! wykrzyknął Bał.

— O! ślicznie! wtórował leśniczy uśmiechając się, ale dla mnie to nie dziw, bo tu moi rodzice. Widzi tam Jaścio pan kominek po uad parkanem, to nasza chatka... Tu i pola najurodzajniejsze i ludzie się najlepiej mają. Za kominami jeszcze ćwierć milki, to i granica, tuż i gościniec pocztowy... karczma pańska, a ztamtąd powrócimy się w lewo, w lewo i przez dyferencję do Ciemiernej... tylko że środek majątku zostanie na potem.

— O! na potem! rzekł Bał, który lasu miał dosyć.

Nowiny weselej się trochę uśmiewały, szlacheckie chaty były białe, okrzętniejsze, czyściejsze, włościańskie nowsze i pokazniejsze, bujne łądygi ogrodowin świadczyły o żyzności ziemi.

Tu już i lud, który tak często w niedalekich od siebie odległościach się różni, inny miał charakter, twarze weselsze, postawy śmielsze, ubranie schłodne. Na maleńkiej karczemce siedział wnuk Moszka Hercyka, który szabasował w miasteczku.

— A co Jaśnie panie? odezwał się Krużka czegoś wesół. już koło południa po żołądku zwija... gdyby Jaśnie pan nie pogardził razowym chlebem mojego starego, wstąpilibyśmy do ojca, do Mateusza... trochęby się wytchnęło, bo to drogi dla niezwykłego ciężkie... a możeby się co i zjadło...

Pan Bał się uśmiewał. Staś obejrzał z pociechą na poufalego wojaka, który go ujął swoją śmiałością szczerą.

— Nie godzi się dobrem waszem sercem gardzić, odparł Bał, i owszem, i owszem!

— No! na lewo! Ilko! do Mateusza!

Sam poleciał przodem.

— To jakiś dobry człowiek, odezwał się ojciec do syna.

— I mnie się podobał, rzekł Staś, ale my im tylko narobim kłopotu, a podobno nie przywykliśmy do większych przysmaków.

Za chwilę wózek stanął przed niską bramką starego dworku szlacheica, u której stał już uwiązany koń leśniczego, pan Józef i siwi rodzice: szlacheic w sieraku, sparty na kijku i zgarbiony, i Jejmość w chustce

na głowie ze złożonemi z turbacji rękoma.

Pan Bal i Staś nie myśląc tu długo bawić, chcieli tylko zająć do chaty na chwilę, ale stary budnik nie wypuszczał bez poczęstowania, kazał stół pokryć obrusem, położyli bułkę chleba, ser, miód, kwaszone ogórki, zawiędlą kielbaskę. Goście spojrzeli po sobie i choć nie bardzo ochotnie, musieli skosztować uprzejmie ofiarowanego śniadania, które się im nie mogło wydać smaczne. Leśniczy zajał tylko ochotnie i żwawo.

Ojciec jego tymczasem stare opowiadał dzieje panu Balowi o Szujskich jeszcze, o hrabiach i o rządcach, którzy Zakalańszczyznę w czasie bezkrólewów władali.

Grzeczny dziedzie i jeść musiał i słuchać choć dławił się i niecierpliwil, powtarzając po cichu do Stasia:

— Co to za mila prostota! jaka gościnność! jaka serdeczność!

Można jednak zaręczyć, że lzy które miał w oczach, wyciskał zarówno kwaśny ogórek, jak uczucie.

Skończyło się nareszcie przyjęcie, w czasie którego bliżsi osadnicy szlachta zbiegli się nowego pana oglądać i w licznej komitywie przeprowadzany, podsadzany wsiadł nareszcie Bal na swój wózek a Stanisław na konia. Pozostawała mu jeszcze znaczna część majątności do obejrzenia, potrzeba było z Nowiu dojechać do karczmy na granicę, a potem okrążyć lasy granicami aż do Ciemieruej i brzegiem rzeki powrócić do Zakala. Ta przejażdżka do wieczora zająć czas mogła... należało spieszyć.

Wózek potoczył się raźniej, bo Ilko poczęstowany był wódeczką i pan Krużka jakoś po śniadaniu żwawiej konia zażywał. Pośpiech ten wszakże bokiem wyłaził po prostu mówiąc, bo droga była szkaradna, wó-

zek trzęsący, a pan Bal nie przywykły do takiej podróży. Stęknął nieraz nieborak choć usiłował swoje cierpienia w żart obrócić i pocieszyć się widokiem ogromnych posiadłości.

Do karczemki na trakcie drożyna jeszcze była jaka taka; tu chwilę tylko zatrzymali się, by zobaczyć zajęcia Moszka Hercyka i słupy pocztowej drogi i gładziuteńki trakt, którym ochota brała jechać, ale nie pozwalały okoliczności, musiano zaraz skrócić w lasy i w przenajszkaradniejsze topieliska, brody, przewalki.

— Tu to się pan już lasem nacieszy, rzekł Józef, bo aż do Ciemiernik go będziemy mieli, a porządny szmat drogi...

— A wszędzie taka zła? spytał Bal.

— O! będzie jeszcze daleko gorsza! odparł leśniczy, tu jeszcze wybornie!

— Cha! cha! zaśmiał się z przymusem kupiec... ale to prawdziwie dzika natura, amerykańskie puszcze! nieprawdaż Stasiu, że to przepyszne i oryginalne...

— Dzika, to prawda! piękne, ciężko powiedzieć.

— Oryginalne! oryginalne! wykrzyknął Bal usiłując się podochocić — nie w życiu podobnego nie widzieliśmy!

Tymczasem wózek leciał po kłodach, po korzeniach, a pan Bal najoryginalniej w świecie podskakiwał często chwytając powożącego za barki.

Lasy nieskończone, nieprzebyte, gęste zaroślami, choć ogolone z drzew większych stały przed nimi jak nieprzebyte zastępy... Nigdzie pólka, rzadka łączka i stożek przerywały dziką monotonią krajobrazu, który w ostatku najzapaleńszemu wielbicielowi natury tej uprzykrzyć się musiał. Jechali, jechali, pytał dziedzie

po kilka razy, czy daleko do Ciemiernik? a zawsze mu leśniczy odpowiadał, że jeszcze nawet do dyferencji nie dojechali, którą całą przebyć było potrzeba.

Słońce już się zniżało, gdy stłuczony i milczący pan Bal, żalując niemal że się wdał w tę wyprawę, dowiedział się iż są na granicy dyferencji. Łatwo się zresztą było tego domysleć, bo nagle las się podniósł i ukazał prawdziwie wspaniały, podsycając entuzjazm pana Erazma. Sosny gładkie, niedoścignione okiem, strzelały w górę zielonemi czolami; pod nimi wyginały gąszcze, oko daleko w ten labirynt słupów sięgało i gubiło się w jego głębinach. Szum drzew był tu już inny, nie było to szemranie krzewów i karłowatej choiny, ale poważny rozhower starców, co rozprawiają o wiekach przeżytych. Jakieś uczucie poszanowania, jakaś bojaźń religijna chwytala za serce. mimowolnie uczuli ją wszyscy, po długiej przejażdżce na trzebieżach zarosłych młodem wypusty wjechawszy w tę puszcę starą.

— Co to, zawołał Staś to istotnie piękne.

— To cudowne! podchwycił Bal, ale mi się zdaje że się po trosze ściemnia.

— Nic to, rzekł leśniczy. aby tylko za dyferencją, tam droga do Ciemiernej po równym piasku, a z Ciemiernej nad brzegiem do Zakala bity gościniec...

— Ale czy wrócimy przed wieczorem?

— O! za widna! rzekł Krużka, ruszaj Ilko.

Pan Bal nic nie pojmował, istotnie droga środkiem boru zdawała mu się gładziuteńka i wyborna, a wózek co chwila stukał o niedojrzane korzenie sosen i zdawało się że powinnienn się był rozbić w kawałki. Ilko przywykły nie na to nie zważał, ale dziedzic coraz to

paskiem się ścisnął, bo go trzęska całodziwna jazda niezmiernie zmęczyła.

Cała dyferencja składała się z prześlicznego owego lasu i z żalem z niej przebrali się znowu na krzaki zakalańskie, na pustki pozarastałe brzeźniakami i sosninką. Tu i owdzie resztki pieca smolanego, dziegciarni, potażowe wzgórza fusów zielenią obrosłe widzieć się tylko dawały. Pan Bal w początku brał je za tumulusy, za starożytnie wały i okopy rzymskie, ale nienbлагany leśniczy rozbijał te złudzenia, doskonale objaśniając którego roku gdzie smołę pędzono lub potaż gotowano.

Krzakami, piaskami, już o mroku dojechali do Ciemiernej, wsi większej nieco od Borowicy, mniejszej od Zakala, z wielką cerkwią, mieszkaniem parocha i ludem zamożnym. Dawniej była tu binduha, to jest brzeg, na którym wyroby lasów wiązane i przygotowywano do splawu, ale teraz, gdy towar wyrobiony został do szczętu, pamiątka tylko została. Z Ciemiernej mnóstwo ludzi szło co roku na flis i ci apostołowie cywilizacji przynosili z sobą do chat czarne kapelusze, powieści o dalekim świecie i skłonność do hulanki.

Wpływ ich jawny już był w całej wiosce, której ludność nie chowała się przed obcymi jak Borowiczanie, lęknięła zarobku, stroiła się wykwintniej i wyglądała czystiej. Nie mieli już czasu zatrzymać się w Ciemiernej, rzucili tylko okiem na główną ulicę, na cerkiew i dworek plebana staremi otoczony drzewy, na karczemkę schludną, w której mieszkał szwagier Mosszka Hereyka i popędzili dalej.]

Droga swą nowością podobać się mogła, była to wijąca się po wybrzeżu Horynia ścieżka, utrzymująca

związek między Zakalem a Ciemierną. Gdzieniegdzie ukazywała się rzeka płynąca szerokim ługiem, rozlana teraz i błyszcząca w ostatku blasków słonecznych.

Pan Bal mógł się nuosić, bo widok ten choć smutny, miał swą powagę i uroczystość.

— Ztąd już, odezwał się leśniczy kłaniając, Ilko Jaśnie pana zawiezie do dworu, a mnie potrzeba pospieszyć do chaty, jeśli pozwoli Jaśnie pan...

— Ale jutro Waćpan przybywaj, odezwał się Bal, a rano będę cię potrzebował...

— Będę na rozkazy!

— Proszę, proszę...

Już się ściemniało dobrze, kiedy nareszcie w dali pokazał się dwór Zakala na pagórku, który z niezrównanem uczuciem powitał pan Bal zacierając ręce.

Ilko popędzał gorąco, konie leciały szybko i w kwadrans wózek zatoczył się przed milczący ganek.

Pan Erazm wyskoczył z niego, połamany w kawałki, zbity, potłuczony, bolejący, ale rad z siebie i gotując się szeroko opowiadać żonie i córce o pięknościach borów i pustyń Zakala.

ROZDZIAŁ VI.

Gospodarstwo. — Kłopotarstwo.

Zdziwił się mocno pan Erazm, gdy mu zaraz w progu znać dano, że jakiś urzędnik który z południa przyjechał, czekał na niego z pilnym interesem na folwarku.

Jakkolwiek zmęczony, musiał wyjść do saloniku i posłał go prosić: po dobrym kwadransie niespokojnego oczekiwania wsunęła się figura zapięta w surdut, który niegdyś mundurowym się mógł nazywać. Twarz ospowata, oczy kose, cera blada, nos zadarty nieprzyzwoicie, ruchy niezgrabne, nie dobrze o tym jegomościu uprzedzały, choć z niepospolitą powagą się prezentował. Mi na jego chciała być urzędową, zastraszącą, groźną i tajemniczą.

Pan Bal skłonił mu się pierwszy, to jeszcze nadęło przybyłego, który ledwie oddawszy ukłon, zaprezentował się ochrypłym głosem:

— Jestem pomocnik tutejszego stann...

Bal ani stann, ani jego pomocnika nie rozumiał, zrobił wielkie oczy, ale udął że wie o co chodzi.

— A! rzekł, cóż pan każe?

— Pan dobrodziej nowy dziedzic? spytał przybyły.

— Tak jest.

— Pan Bal?

— Tak jest.

— Erazm Bal?

— Tak, Erazm Bal.

— A! pomocnik brodę pogładził. podparł się na bok, zamyślił...

— Pozwoli pan pomówić z sobą na osobności?

— I owszem.

— Są ważne interesa rządowe.

Pani Balowa i Lizia cofnęły się do drugiego pokoju, gospodarz poprosił siedzieć pomocnika, który się rozparł i zamilkł, usiłując widocznie przestraszyć milczeniem z góry,

Pan Bal oczekiwał zapowiedzianych spraw ważnych.

— Pan dobrodziej zna urządzenia nasze? zapytała w końcu tajemnicza figura.

— W ogólności znam niewiele prawa tutejsze, ale wszelkim rozporządzeniom rządowym gotów jestem zadosyć uczynić.

— Pan wie jakie na dziedzicach ciężą odpowiedzialności?

— Nie wiem panie, ale się nanczę.

— Jeżeli pan nie jest z tutejszą manipulacją oswojony, cóż to będzie? kto pana zastąpi?

— Postaram się o kogoś.

— Tak, ale teraz... są sprawy nie cierpiące zwłoki.

— Niechże pan będzie łaskaw powie mi co?

— A, zaraz! są sprawy, są wielkie sprawy! są, o są! Właśnie tu plik papierów przyniosłem... jest wiele!

Tu pomocnik rozpiął mundur, wysypał na stół plikę papierów i począł w nich szukać. — Najprzód, odezwał się, sprawa o przetrzymanie Petra Sokolniczyka, włościanina ze wsi Piwarowa, klucza książąt Radziwiłłów, którą kazano przesłedzić,

— Któż to ma przesłedzać.

— A to ja!

— Więc to się mnie nie tycze.

— Przepraszam pana, odparł pomocnik, bo jeżeli się okaże że włościanin był przetrzymany w Zakalu, to sztrofy wyniosą do tysiąca rubli.

— Ale cóż ja teraz winien, kiedy to się działo nie za mnie?

— U nas odpowiada majątek, a pan sobie będziesz szukał od kogoś go kupił, uśmiechnął się pomocnik.

— Byłże ten włościanin przetrzymany?

— Albo był przetrzymany, albo nie był, odparł przybyły, podnosząc wargę, to się różnie może okazać.... Powtóre...

— A jest i powtóre?

— Za należną bankowi a nie opłaconą ratę mamy polecenie licytować i opisywać majątek.

— Co pan mówisz?!

— Tak jest, zimno rzekł pomocnik, hrabia nie opłacił.

— Cóż to za roztargniony człowiek! zawołał Bał, nie przypuszczając nic więcej nad roztargnienie.

— A cóż na to poradzić?

— Zapłacić najprzód, potem.... pan dobrodziej powinienś wiedzieć...

— Wieleż wynosi rata?

— Dwa tysiące trzysta sześćdziesiąt rubli, kopiejek czterdzieści, nie licząc peny.

— To gruba suma! westchnął Bal, muszę pisać do hrabiego.

— A tymczasem majątek zlicytują.

— I sprzedadzą? odparł Bal, jak to być może! a cóż ja temu winien?

— Pan nie, ale zawsze odpowiada majątek...

Zimny pot wystąpił na czoło kupca, który westchnął, podparł się na łokciu i słuchał dalej pomocnika, coraz nabierającego większej powagi.

— Jest tu jeszcze śledztwo o kradzież popełnioną w karczemce na Roztrybin...

— I więcej co?

— I bardzo wiele jeszcze...

— Cóż ja mam na to poradzić?

— Niech pan radzi jak uważa. Ale czyż pan już nie ma rzadcy Supelka? spytał naiwnie pomocnik, jak gdyby nie wiedział co się działo i nie pił herbaty z rumem na folwarku.

— Supelek się oddał.

— O! to wielka szkoda! rzekł kiwając głową pomocnik, walny człowiek, tęgą człowiek, to i do gospodarstwa i do interesów i zna już Zakale dobrze... A ot... tu jeszcze interes z parochem o pasiekę, ciężki dla nieznanącego miejscowości, może panu kruhlak zabrać. Nie ma tu na okolicę takiego człowieka jak Supelek, spryt... do interesów z nami jedyny... Co pan powie? zawsze nas okpi. O hestja! Będiesz pan miał tysiące bied bez niego... Bo tu i z chłopami nie jedna już sprawa była, a on ją zagasił...

— Cóż robić, westchnął Bal, trudno go gwałtem utrzymać.

— No! ale na to są sposoby, odezwał się pomocnik

uśmiechając do siebie, podwyższyć mu pensję, lub czemś go nająć... mógłby zostać. Pan widze nowy człowiek... nie znasz naszych praw, a tu co chwila będą interesa nie do zgryzienia, odpowiedzialność wielka... Ale prawda, jeszcze się zapominam, wszak ci to znowu interes.

— Czy jeszcze?! ruszając ramionami zapytał cicho kupiec.

— Prawie najważniejszy!... ma pan dla siebie i ludzi paszporty? Wziął pan intromisję do majątku? Czy pan potwierdzony przez heroldję? Czy opłacone rządowe należności?

Bal zatknął uszy słysząc razem tyle rzeczy, których dobrze nie rozumiał.

— Powoli! panie, powoli! zawołał, zaraz się wytłumaczmy. Paszporty są jak najporządniej wszędzie podpisywane.

— Potrzebuję przedstawić do nas i do sądu... a intromisja?

— Nie miałem czasu wziąć jej jeszcze.

— A bez tego maszże pan prawo rządzić majątkiem?

Bal spojrzał mu w oczy ze strachem.

— Jutro pojedę z prośbą do powiatowego miasteczka.

Pomocnik nieco się zmieszał.

— Nic o to idzie widzi pan, żeby się spieszyć, bo czasu na to dosyć, ja tylko przestrzegam, a co się dotyczy przeszkód z naszej strony, te za porozumieniem się... mogą być i usunięte...

Pocziwy kupiec ścisnął go za rękę z uczuciem.

— A potwierdzenie heroldji?

— Czy i to potrzebne?

— Koniecznie, inaczej znowu nie możesz pan ani posiadać, ani rządzić majątkiem.

— Ale te mam, rzekł dumnie trochę pan Bal.

— No to dobrze... a należności rządowe?

— Opłaciłem.

— A podatki?

— Tego nie wiem.

— Ja zaś wiem że zalegają.

— Mój Boże! co za roztrzepaniec z tego starego hrabiego, o nic nie pamiętał! Ale i rządca winien.

— Za pozwoleniem pańskim, ten nic nie winien, gdy mu pieniędzy nie dawano.

— Ha! i to racja.

Była chwila milczenia, wśród której pomocnik napawał się dziełem swoim, a kupiec smutnie głowę zwiesił.

— Ze wszechmiar, odezwał się urzędnik, radzę panu zatrzymać rządcę... pan sobie rady bez niego dać nie możesz...

— To niepodobieństwo! sam mi podziękował.

— Chce pan to ja z nim o tem pomówię.

— Dziękuję bardzo, ale z tem wstrzymaćbym się chciał jeszcze... zakłopotany rzekł kupiec, nie chcąc zniżyć się do prośby.

— Więc jutro przystąpię do opisu majątku, odezwał się przybyły.

— Ale ja płacę!

— A! pan płaci! dobrze... przystąpię tedy do sprawy parocha o pasiekę i kruhlak.

— Ale ja jej nie znam jeszcze.

— Mnie nagli sąd, ja muszę... to obowiązek.

— A gdyby pan dał mi się czas rozpatrzyć, rozpoznać, wywieść...

— Chętniebym to zrobił, ale co pan chce, obowiązek

przedewszystkiem... powinność! ja miejsce stracić mogę!

Znowu chwila milczenia.

— Przyznam się panu dobrodziejowi, dodał po chwili przybyły, że jeden Supelek dałby na to rady, bo wie różne sposoby, możeby na to jakie pismo podał, o! to człek kuty, dałby się interes jakoś pociągnąć... a ja sam wyszukać środka nie umiem... Odpowiedzialność wielka! wielka! powtórzył na końcu.

— Ha! zawołał z westchnieniem ciężkim gospodarz, pierwszy raz czując że się nie w swoje wdał rzeczy, niech pan jeżeli łaska uprosi Supelka, żeby mi tylko do tych spraw bieżących nsłużył, które za niego i jego zarządów początek wzięły... a za to mu nagrodzę.

— Ja o tem z nim pomówię, mam nad nim przewagę, znamy się jak tyse konie! ze śmiechem radości rzekł pomocnik — ale mi już by lepiej było, żeby go pan taki znów wziął na rządce.

— Raz mi podziękował, nie mogę — stanowczo rzekł Bał.

— Wątpię, żeby się podjął tak tylko interesów tych, bo musi sobie szukać miejsca, sucho odezwał się pomocnik. Ale pan się namysli, ja tu przenocuję, więc do jutra, do zobaczenia.

I prawie z protekcyjnym tonem i miną powstał z krzesła gość, obejrzał się po saloniku, wykręcił na nodze, zapiał mundur, schował papiery, uklonił się i wyszedł.

Bał zaczął latać po izbie trąc czuprynę. Po chwili weszła żona i syn.

— Co ci to? spytała.

— A! to ty Ludwisiu! piwa mi nawarzyć chcą widzę, żywo odparł nowy dziedzic; wystaw sobie, tysiące

interesów spada na moją głowę, jakieś śledztwa, sprawy o grunta, zaległości... chcą licytować majątek, oszaleję.

— Niech mi papa dozwoli w to wejrzyć, to muszą być rzeczy na postrach zrobione tylko — rzekł Stanisław. — Trzeba pojechać do miasta, umówić plenipotentą, bo sami sobie rady nie damy. Zdaje mi się też że jest jakaś intryga, bo żona rządcy jeździła gdzieś rano i przywiozła z sobą tego pana.

— Jasna jak dzień, odpowiedział Bał, że to są rzeczy podrabiane i chcą mnie nastraszyć, żebyś Supelka wziął napowrót, ale jaka na to rada?

— Pojechać po plenipotentą, sami rady nie damy.

— To prawda, jedź więc jutro zaraz, dziękuję ci Stanisławie. Trochę to kłopotu, ale w rzeczy nic zapewne, dodał już usiłując różowiej wystawić żonie to co ich spotykało. Nie uwierzysz kochanie moje, co to za głowa szalona była z tego hrabiego! O niczem nie wiedział. o niczem nie pamiętał! Prawda, że wielki majątek i trudny do rządzenia, ale trochę się nim lepiej mógł zająć. Kto inny powiedziałby że mnie chciał oszukać, ja jestem pewien. że on tylko był oszukiwany.

Uśmiechnęła się żona i Stanisław.

— Czegoż to się śmiejecie? ofuknął się Bał. Biedny człowiek! Jutro piszę i posyłam do niego, nie wątpię że mi zaraz przysze pieniądze.

— Ale jakkolwiek, może cokolwiek zniszczony majątek, prześliczny Ludwisiu! zawołał stękając na potłuczone boki. Obszerność niesłychana, puszcze amerykańskie, oko w nich ginie. Miał racją leśniczy, że to większe od niejednego niemieckiego księstwa...

Wszystko *in grudo*, to prawda! ale co to z tego zrobić można! cuda! cuda! Zapytaj Stasia jakie na nas wrażenia robiły te wspaniałe widoki dzikiej natury! Lasy, lasy! rzeki potężne! siola ogromne! osady szlachty! A jaki lud! powiadam ci, że tu dopiero czuję że żyję, tu w swoim żywiole kapie się dusza moja... Odezwała się krew Balów!

— A moja wcale nie bije żywiej do tych twoich ideałów, odpowiedziała żona, i nie dziw, jam sobie mieszcanka, jam kupcówna.

— Cicho, cicho, pocóż się z tym wrywać! zawołał kupiec, na co to gadać! Wiedz Ludwisiu, że się z tem tu chwalić nie można. Palcami by nas szlachta wytykała.

— Już ciż się nie zapre, z pewną dumą odpowiedziała Ludwika.

— Tak! ale nie ma się co też wrywać bardzo! Do czego? Miecz uszlachca i kwita, a ja jestem miecz i szlachcie! zawołał pan Erazm śmiejąc się. Dobranoc ci kochanie, idę pisać do hrabiego i instrukcje Stasiowi, który jutro jedzie.

Takim był pierwszy dzień spędzony w Zakalnu, dzień w ciągu którego pan Bal skosztował na próbę słodyczy i kłopotów życia, do którego tak wzdychał. Mały to tylko był zadatek przyszłości. Bolące kości i zajęcie niebezpieczeństw, których rozmiaru nie umiał dobrze ocenić nowy dziedzic, nie dały mu zasnąć w nocy, przewracał się z boku na bok i wzdychał. Szczerściem był to człowiek przez słabość może uparty w swoim, a raz postanowiwszy znaleźć słodycz w dziedzictwie, nie przypuszczał zawodu w żaden sposób. Ubierał przeciwności, odganiał strachy, otaczał się nadziejami i nad

rankiem na ich poduszce się zdrzemnął. Tymczasem Stanisław o świcie puścił się do miasteczka, a wyjazd jego skłopotał nie pomalu folwark.

Tu także trwały narady niemal noc całą, do których kuzynek paui, pomocnik należał. Nie spodziewano się tyle hartu i nieustraszonności znaleźć w przyby-
szach; zawiodły mylne rachuby, Supełek myślał już pójść nazajutrz i ofiarować swoje usługi. Żona mil-
czała, nie chcąc ani do tego pobudzać, ani się sprzeci-
wiać, bo iunej nie widziała rady; wyjazd zaś Stanisła-
wa do miasteczka poplenipotentą zastraszał wszystkich.

Rano nim jeszcze zabrał się rządcą do dziedzica, wprowadzono poważnego Moszka Hercyk do pokoju pana Bala. Choć to już nie był szabas, wszakże ma-
jąc się przedstawić paui, którego się jeszcze nie zna-
jąc obawiał, Moszko ubrał się w ten sam odświeżony
żupan, przepasał jedwabnym pasem, wziął czapkę so-
bolową, jarmułkę aksamitną nową i na brodzie nawet
siwej, spadającej mu na piersi, znać było staranne
utrefienie.

Była to postać doprawdy piękna i poważna, z wy-
pogodzonym czołem, ze spokojnością na twarzy, jaką
rzadko okazują prześladowani Izraelici; Moszko czuł
się bezpiecznym widać. Jedną rękę złożył na żupan,
drugą za pas i tak stanął w progu. czystą bardzo pol-
szczyzną życząc dzień dobry.

— A! panie Hercyk, bardzo na cię tu czekał, ode-
zwał się Bal zbliżając ku niemu, znasz się tu ze
wszystkiem i ze wszystkimi, możesz mi poradzić...
wpadłem prawdę powiedziałszy jak w ukrop.

— Słyszałem, pomocnik przyjechał — rzekł żyd ci-
chuteńko — to nie bez kozery... pewnie co przywiózł.

— Nie jedno! nie pamiętam ile mi nasypał.

— Niech się tylko Jasny pan nie boi, to wszystko głupstwo, z pozwoleniem.

— I jam tak myślał, ale majątek chcą licytować słyszę.

Żyd potrząsł głową.

— Nu! nu! jak rata nieopłacona, trzeba ją wnieść, to nie ma rady, a więcej?

— Śledztwo o jakiegoś Radziwiłłowskiego człowieka.

— U! o Petra Sokolniczuka; to już lat dwadzieścia się ciągnie, to nie.

— O pasiekę z parochem?

— I to nie Jasny panie.

— Podatek, intromisja, paszport!

— To fraszki, kiwając głową rzekł Moszko, ale panu trzeba człowieka!

— Chcą mi znów wkręcić dawnego rządcę.

Żyd nie chcąc się widać kompromitować wyrazem żadnym jako wielki polityk, głową tylko pokiwał.

— Co? nie? spytał Bał.

Moszko powtórzył swój rneh wielce dobitnie.

— Posłałem po plenipotentą do miasta.

Żyd skłonił czoło potwierdzając.

— Ale Snupek wynosić się nie chce. Jak myślisz, będę miał trochę biedy nim go wykurzę?

Moszko się rozśmiał, brwi podniósł, pogładził siwą brodę i pejsy i nie powiedział.

— Lepiej trochę biedy, niż wiele straty! — rzekł w końcu.

Tu już rozmowa poczęła się o rzemieślnikach, o kupnachs, a żyd wszystkiego podjąwszy się gorliwie i

uprzejmie, odjechał; tylko na wychodnem szepnął pannę Balowi:

— Niech pan rządcy tego nie przyjmuje, to na nic. Ja się pójdę zobaczę z pomocnikiem i potrafię z nim pogadać, on sobie zaraz pojedzie. Bądź pan spokojny. Ja sługa pański, dodał z ukłonem, a mam nadzieję, że mnie za to z chaty ojców nie wypędzicie, ugodzim się i ja się Jegomości przydam.

— Dobrze panie Hercyk,— odparł Bal,— nikomu nie chcę być przykrym, a wdzięcznym każdemu być umiem.

— Nu! bądź pan spokojny, cicho powtórzył Moszko, ja przejdę na folwark.

Nałożywszy wysoką czapkę na głowę, Moszko powolnym krokiem skierował się ku domowi, zajętemu teraz przez rządcę, ale że w tej stronie stał wózek jego, miało to pozór, że szedł wsiadać. Powoli się trochę do tego zbierał tak że Supelek miał czas wybiedz i zawołać:

— Panie Hercyk! panie Hercyk! a do mnie na szklanek herbaty nie łaska?

— Upadam do nóg... ale czasu nie wiele mam.

— Na chwileczkę.

Tak tedy zaproszony, czego z góry był pewien, rachując na to, że nie sam wejdzie ale przyciągnięty zostanie, stary żyd wkroczył poważnie do państwa Supelków, gdzie przy kipiącym samowarze, gorące właśnie traktowały się kwestje. Na widok żyda, o którym nikt nie wiedział za jaką pójdzie stroną, jakby się porozumieli przytomni, szła — uciechła rozmowa, twarze powlokły się nieprzejrzaną obojętnością.

— A co, panie Hercyk, odezwała się rządczyni, mamy nowego dziedzica.

— Umhu ! — kiwając głową dwuznacznie , rzekł Moszko.

— No ! jużś się poznał słyszę , jakże ci się wydał ?

Żyd głową pokiwał w sposób niezrozumiały.

— Polityk bestja ! odezwał się pomocnik, mruczy i kiwa sie, ale djabeł go wie, co to ma znaczyć.

— To ma znaczyć, rzekł Moszko, że się tylko chłopi cieszą kiedy nowy dziedzic nastaje, a nam to nie koniecznienie pociecha...

— Alboż byś ty się go bał ? — spytał ciekawie Supełek.

— Bał ! — powtórzył aredarz ruszając ramionami, ja sie nikogo nie boję prócz pana Boga, ale kłopot zawsze z nowemi ludźmi.

— Ale to kupiec, mieszczanin ! safandula ! zawołała rządczyni.

— Oj ! oj ! a jak to pani łatwo osądzić ! mrugając powoli, ozwał się Moszko. Nu ! nu ! inaczej pani powie potem.

— Albo co ?

— Co ? To głowa okrutna, a zna się na wszystkim, a ciężki, a rachunkowy ! rzekł żyd, już ja sie na ludziach nie mylę... z nim nie pójdzie jak z hrabią. Zraz mnie zapowiedział albo ankeją, albo fora z karczmy.

— Patrzajcie ! patrzajcie jak sie zabiera ! rozśmiała się kwaśno jejmość.

— I ma plecy wszędzie — mruczał Moszko — w gubernji, w powiecie, gadają co ma szwagra w senacie.

Pomocnik pobladł.

— No ! a wczoraj tak się strapił jakem mu mówił o interesach.

— Próbował ! próbował ! rzekł Moszko, frant ! frant ! O ! o ! otóżnie z nim !

— Niechże go diabli wezmą, zawołał gość wstając i okiem wymówki pełnem rzucając na gospodynią, go-tów kaszy nawarzyć.

— A pan, dodał żyd obracając się do rządcy, dobrze sobie poradził...

— Ja, co?

— Czy to ja tego nie rozumiem? Podziękował sły-szę. Bylebyś teraz pokwitowanie wziął, to dobry inte-res ztąd się wynieść. Żebyś to ja mógł i ja bym zro-bił podobnie, wzdychając rzekł Moszko.

Rządca i żona spojrzeli po sobie; stary tymczasem dopiwszy herbaty, pożegnał ich i poszedł do swojego wózka.

Chwila milczenia panowała po jego odejściu, twa-rze zafrasowane przeciągały się, nareszcie Supełek plunął i zbierając się na odwagę cywilną zawołał:

— A to jejmość wszystkiemu winna!

— Milcz ciemiego, ofuknęła żona głośnie i nogą tu-piąc, nie wdawaj się w to co do ciebie nie należy; nie twoim nosem to robić i odrabiać. Widzisz że wszystko się dobrze stało, zdawaj rachunki, bierz kwit i wynośmy się do hrabiego...

— Aha! — cichuteńko rzekł rządca — na tem ko-niec! A tyżeś mówiła, że nie on nas, ale my jego wypędzimy ztąd.

— Niedaleko Supówka, ja o swoim nie zapomnę! — odpowiedziała jejmość, tak ja ztamtąd potrafię figla mu spletać, jak tu, a może i lepiej... No! słyszałeś! idź, rób co do ciebie należy, a do hrabiego pisz że się wynosim.

— Może miejsca już nie ma...

— Głupiś! dla mnie zawsze jest miejsce, dumnie odparła kobieta.

W czasie tej sceny pomocnik był niemym tylko świadkiem, skorzystał z niej dolawszy sobie cichaczem araku, nie wniósł się wcale do małżeńskiej kłótni i nieprzyjemnie skłopotany, zaprzędz kazawszy Sotnikowi cztery konie do wozu, wyruszył nie żegnając już dziedzica.

ROZDZIAŁ VII.

Kuropatwa. list hrabiego. przyjazd Stasia i nowa znajomość.

Nazajutrz pomimo bolesnych rozmyślań pana Erasma, które mu wieść jego marzoną i nkochaną zatrzymywały, wielkiej i prawdziwej doznał przyjemności. Zebrane gromady wiosek Zakala, Borowicy, Ciemiernej i Nowin uroczyście przyszły z chlebem i solą, z przemową i życzeniem dziedzica powitać. Na czele ich szli poważni starcy z białymi brodami, w siwych świątach polskich, w nowo uplecionych łapciach, czerwonych pasach i sutych czapkach barankowych. Za nimi tłoczył się lud niezliczony, ciekawy, trochę szydersko z pod oka spoglądając na dobroduszną, uśmiechnioną, rozpromienioną twarz nowego pana, który ani przemówić nie miał, ani na ich różne prośby i nżalenia odpowiedzieć.

Język, obyczaj, życie tego ludu, wszystko niestety było mu obce; leśniczy musiał służyć za tłumacza i panu i włościanom. Ale widok tak licznie zgromadzo-

nych wieśniaków, ich poszanowania pełne postawy odkrytych głów, nastawionych pilnie uszu na każde jego słowo, rozrzewniał niemal pana Bala. Jemu tak łatwo się było pokochać i zapalić. Oko już upatrywało w tych twarzach mnóstwo charakterystycznych oznak wszystkich cnót społecznych; każdy wyraz tłómaczył sobie na najlepszą stronę i najgłębsze nadawał mu znaczenie; śmiał się, zacierał rece, słowem był szczęśliwy! A że Krużka mu podszepnął, że gromada lubi żeby z nią rozmówić się długo, a zwyczaj chce, by ją przyjmować, pozostał więc w ganku dziedzic, posławszy po kufę wódki do Moszka Hercyka i wysłuchał co tylko ludzie mu powiedzieć chcieli. Tymczasem gromady z właściwą sobie bystrością sądu i filuternem wejrzeniem przyglądały się temu, kogo im pan Bóg zesłał. a wrażenie jakie na nich czynił pocziwy pan Bał, byłoby może najkorzystniejsze dla niego, gdyby nie jedna okoliczność.

Dziedzinięć był całkiem zajęty ludem, który nim przywieziono wódkę z najbliższej karczmy, rozsypał się trochę pod płoty i budynki. Młodszy nie mający udziału w rozmowie z dziedzicem i ci co jej unikał, poszli ku folwarkowi. Tu Supełek i jego żona stali w drzwiach bocznych przypatrując się zdaleka obrzędowi. W gromadach już się lotem strzały rozeszła wiadomość o usunięciu Supełka, i chociaż z niej większa część dosyć się cieszyła, bo był niepospolitym ciemiężcą włościan, znaleźli się i tu jak wszędzie faworycy, pochlebcy, co żalowali zlego znanego, obawiając się by złe nieznanie gorszem od niego nie było. Kilku z ludzi co mieli łaskę u jejmości, bo żony ich przedły dla niej darmo, nosiły grzyby i przysługiwały się róż-

żnemi ofiarami, przysunęli się do dawnego rządcy z ukłonem.

— A co, jak się macie Iwanie? rzekła do jednego z cicha żona — słyszeliście, nowy pan, nowego też wam da rządcę! Nie podobał się mój mąż, że was trzymał za lekko. Nie macie sobie czego winszować, dał pan Bóg nowego dziedzica, co wam za skórę zaleje. O! człowieczek! dodała, człowieczek! śmieje się, powiedziałby kto, że go do rany przyłożyć, a to nie hra-bia! nie!

— No! a cóż robić? — odparł Iwan, my siebie nie sprzedajemy i panów sobie nie kupujemy, trzeba takich wziąć jakich pan Bóg ześle.

— Za wasze grzechy też się wam dostało, odpowiedziała kobieta. Byliście niedawno kniaziowscy, potem grafa, a teraz się wam zeszło być pod wychrztą! Toć to słyszę żyd... z Warszawy... zrobił majątek na łojowych świeczkach i na pieprzu, i zachciało mu się potem ludźmi handlować!

— Ej! czyż to prawda? odezwali się ludzie.

— Ot to! a któż to lepiej wie od nas? To pewna rzecz, że taki na was zła godzina przyszła, po grafie tego nechresta słuchać.

Ludzie pokiwali głowami, poszeptali między sobą.

— Taki to graf, zawsze graf! Nie żał takiemu panu głowę schylić; a to!!! Wy myślicie, że on nas odprawił? Ot poprostu sami nie chcieliśmy mu służyć, bo to wstyd! Co innego u grafa! a to przybędą z końca świata, wolelibyśmy u Moszka Hercyka!

To powiedziawszy rządczyni, wzięła się pod boki i rzuciła wejrzenie badające na otaczających, na których widocznie mowa jej wielkie zrobiła wrażenie. Lud ma

także swój rodzaj dumy i nie rad spada pod rozkazy niższych od tych, którym wprzód ulegał. Chłop dóbr książęcych nieraz w karczmie nadmnie się nawet przeciw poddanemu ubogiego szlachetki i plunie mu w oczy. A wiesz ty że ja z kniaziowszczyzny? I tu więc rzucone zrecznie domysły pani Supelkowej chmurami powiodły twarze, wieść poszła po gromadach, które się kupkami zbierały i na ucho ją sobie powtarzały. Niektórzy wprawdzie wierzyć nie chcieli, ale ogół chwycił to do serca. A że na wódkę długo czekać przyszło, zebrani ludzie mieli dobry czas się rozmyślać nad upokarzającym położeniem swoim. Młodsi i sprytniejsi z za węglów przypatrywali się panu Balowi i już, jak to u nich jest zwyczaj, szukali jakieby mu dać przezwisko. Niektórzy poczynali szydzić z naiwnego zapалу dziedzica.

— Do czego on podobny? spytał jeden zdaleka się wpatrując. — Małeńki, grubeńki, czerwoneńki, a śmieje się aż płacze, a kłania się aż mu kości trzeszczą. Powiedźcie-bo do czego on podobny? bo nie uspokoje się póki go nie ochrzci.

— Ja już myślę długo a jeszcze wydumać nie mogłem. odparł drugi dowcipniś... Coś on taki fertki i rzutki jak kuropatwa i tłuscieńki gdyby ona.

— Niech będzie kuropatwa, pochwycił pierwszy, nazwiemy go kuropatwą!

I zaczęli się śmiać do rozpuku; a odtąd już pan Bal został u nich kuropatwą.

Starszy jednak co tego słuchał, odezwał się kręcąc głową:

— Będzie wam kuropatwa, jak on na kobuza się przerobi!

Już innemi oczyma jakoś poczęto spoglądać na nie-
szczęśliwego pana Bala, który jeszcze odgadywał sym-
patją, gdy już wzbudzał tylko obawę i odrazę. Nieu-
miejętność języka naraziła go także na śmieszność nie-
uchronną i odstrychnęła od niego.

Przyszła ureszcie wódka i ta trochę poprawiła
sprawę, bo to jedyna pociecha ludu, który nic nie ma
nad nią, a pięknej strony powołania swojego nie zawsze
czuć umie.

Chybil pan Bal że się wódki nie napił, że jej przy-
najmniej do najstarszego z gromady nie skosztował,
nie byłby od tego zachorował, a że tylko leśniczy prze-
pił do starszyny, krzywo na to spojrzano.

— O! patrzajcie, rzekł jeden, tamto był graf, a
kiedy nas przyjmował, bywało, nie wstydał się do
Iwana i do Hrycia kieliszek gorzałki wypić; a kuro-
patwa kazała leśniczemu! jaki hardy!

Wszystko się tak po trosze składało na nieprzewi-
dziane złe wrażenia, gdy Bal byłby nie wiem co uczy-
nił, byle serce tego ludu, którego opiekę przyjmował,
pozyskać sobie.

Lata często pracować trzeba, by jednej chwili dzieło
odrobić.

Zaczęto jednak pić, wódka otworzyła usta, rozchmu-
rzyła czoło, gradem posypały się wspomnienia, a z nie-
mi żale za hrabią, za Supelkiem, których żałować nie
było warto. Oba oni, chyba gdy ich już nie stało, go-
dnymi żalu się pokazali w obec nieznanej przyszłości.
Gromady jak zawsze przy rozstaniu rozpamiętywały
co w nich było dobrego, tracąc złe zapomniane z oczu.

— To prawda, że hrabia popędził do smoly i cza-
sem nie zapłacił za wywózkę drzewa, ale taki to był

dobry pan! mówili Borowiczanie. Sam nie mieszkał, bardzo się szczerzo nie wdawał, a choć graf, z człowiekiem hardy nie był. Połajał ta i rozśmiał się.

— I ten rządca, rzekł drugi, to jak komu, a mnie on był dobry... no! żona tam czasem poszła praść, a co baby mają do roboty, daliśmy wianek grzybów, trochę jaj i siedzieli spokojnie.

— Już to nie był zły, poparł inny, a nawet sam przez się i pofolgowałby człowiekowi, gdyby nie żonka. Oj ta! taby pasy darła gdyby mogła.

— I nie prawda, przerwał trzeci, ty bo Hrycin nie umiesz się pokłonić, a cały chłopski rozum w pokłonie... Ot ja, bywało czy co przyniosę, czy nie przyniosę, a jak jej pocznę do nóg padać, a w ręce całować, a czapkę o miłę zdejmować, nawet mnie poлюбиła!

— Oj, bo z ciebie gadzina! — odpowiedział pierwszy — a nie wszyscy mają ten rozum co u ciebie w karku.

Pan Bał, że dzień był niezmiernie chłodny, a on do powietrza wsi i w ogólności do zmian jego nie nawykły. schronił się wkrótce do pokoju, *con amore* tylko na lud z okna z żoną i córką spoglądając, a wszelkie jego ruchy najpochlebniej już sobie tłumacząc. Tymczasem i to ujście z ganku już mu za złe poczytywano.

Młode parobczaki krzyknęli:

— A co! już kuropatwy nie ma?

— Poszedł za piec w bety! — rzekł inny. I nuż się śmiać.

Trwało jeszcze przyjęcie dopóki wódki stało, chleba i kupionych na zakąskę ogórków, które w chwili zni-

kly ; starsi z gromad przybyli pożegnać dziedzica i podziękować mu. Pospieszył wyjść pan Erazm, wypalił do nich z mazowiecka oracją bardzo czułą, której nie mógł wyłożyć leśniczy, bo pan Bal rozrzewniony zbyt szybko mówił ; pochwytano więc tylko słowa i to w najdziwszy sposób sobie wytłumaczono. Rozchodziły się wieści nawet że pan Bal strasznie groził i zapowiadał, że nie będzie taki jak hrabia, że przykazywał posłuszeństwo i t. p.

A że co najdrażliwsze to się najlepiej pamięta, ponieśli z sobą odchodzący ludzie do chat pogłoskę o strasliwym nowym dziedzicu, którego nazajutrz młodzież opisywała najpocieszniej przezywając kuropatwą.

A że kupiec widział tylko ukłony, schylone głowy i pokorne miny, daleki był bardzo żeby się setnej części prawdy był domyślił.

Po objedzie tegoż dnia przyszła odpowiedź od pana hrabiego. List ten wart jest ze wszechmiar nie tylko dosłownej kopji, ale nawet *fac-simile*, gdyby to nie było zbyt kosztowne. Ogromny plaster z pieczęcią herbowną z Sulimą, Orlem, Rogalą, Pogonią, Lisem i mnóstwem innych kolligacyjnych znaków złączonych potężną hrabiowską koroną nad książęcym palndamentem zdobił jedną stronę koperty niezgrabnej z szarego papieru.

Bal szarpnął niespokojnie pieczęć, rozdarł papier, otworzył i spodziewając się w jasnej jak słońce sprawie, krótkiej i kategorycznej odpowiedzi, co następnie wyczytał :

Wielmożny Mości dobrodzieju !

Ulegając usilnym prośbom jego, zgodziłem się na pozbycie majątku, szacownego dla mnie jako pamiątki

familijnej i dóbr których wartość co chwila podnosić się musi. Uczynilem to nie bez żalu trwającego do dziś dnia, a kończąc interes aż do zbytku pospieszenie, ze stratą moją, z zaufaniem największem, nie postawi mi w myśli, żebym ztąd miał w przyszłości gotować sobie kłopoty. Nie zaprzeczysz mi Wpau dobrodzieju, że mni najszczerzej opowiedział stan dóbr i ich ciężary, ale warowałem sobie, bym raz kończąc, nie już więcej z żadnego tytułu nie tracił. Dziwi mnie nawet, że Wpau dobrodzieju mogłeś się z tem odezwać do mnie, przekonawszy się jak świetnie dopełniam co za obowiązek poczytuję. Czego więc nie uczynilem, do tego obowiązany się nie widzę. Na przyszłość prosiłbym Wpau dobrodzieja, ażebyś był łaskaw z tytułu nabycia Zakala nigdy do mnie żadnych nie rościć pretensji, gdyż te do mnie stosować się nie mogą. Przykro mi bardzo że zmuszony jestem bez skutku zostawić żądanie pańskie. ale mam nadzieję, że głębiej w rzecz wnuknąwszy, uznasz pan sam jego niestosowność.

Proszę przyjąć wyznanie szacunku z jakim mam honor zostawać

Wielmożnego Wpau dobrodzieja
najniższym sługą

Jan Bracibor hr. Sulimowski.

Sulimowice, d...
roku 18...

List był, jak widzimy, napisany z taką powagą i pewnością siebie, że w początku obalamu pana Bala, który z przykrem dosyć uczuciem wyrzucać już sobie począł, że nie musiał mieć słuszności.

— Co u licha! — mówił chodząc po pokoju — ten człowiek by tak nie pisał, gdyby nie czuł że ma słuszość. Musiałem się omylić. To być nie może! Prawda! sprzedając nawet warował sobie, żeby żadnych ogonów za sobą nabycie nie zostawiało. Wolałbym jednak, żeby ten ogonek zaległości nie na moję schedę przypadł. Ale stało się! słowo się rzekło! Nie pomiar-kowawszy się napisałem wcale niepotrzebnie. Oczewiście hrabia ma racją.

I czytał i odczytywał i nie mógł przypuścić, żeby ktoś tak krecąc bezwstydnie, umiał kręcielstwo pomałować i pozłocić. Nie nikomu nie rzekłszy, westchnął tylko i odżałował odliczoną kwotę zaległości, z której zrobił ofiarę nową dla Zakala.

— Wszystko mi się to powróci, rzekł pocieszając się w duchu. Niech co chcą mówią, majątek niepozorny może, ale śliczny! przestrzeń ogromna, rzeka spławna, młyny, ludu dosyć, a jaki lud! Nie żałuję, nie, nie żałuję!

Nie czas bo też żałować było.

Właśnie gdy tak rozmyślał pan Bał, zaturkotało, i bryczka Stanisława, który z sobą wiozł kogoś drugiego, przemknęła się przed oknami. Kupiec wybiegł na spotkanie pożądaných gości.

Przybyły ze Stasiem jegomość, który żywo wszedł, zaprezentowawszy się w sieni pod imieniem Tomasza Parcińskiego, był podżyłym już, ale zdrowym i krzepkim mężczyzną, lat około pięćdziesięciu, małego wzrostu, twarzy ospowatej, dosyć na pozór pospolitej. Chód jego i postawa dowodziły, że nie daleko musiał za próg powiatowy wyjeżdżać, strój był zaniedbany i nie rażący niczem, ale też nie pociągający wzroku. Wpa-

trzywszy się jednak w tę figurkę ze wszechmiar nie uderzającą, zdziwić się musiał każdy po dłuższem zastanowieniu, dla czego od razu nie zrobiła na nim wrażenia. W oczach żywych i pełnych ognia, w czole wyniosłem i szczególnego kształtu, w wyrazie ust uśmiechniętych zagadkowo, było coś przyciągającego, nie powiem sympatycznego, ale obudzającego zajęcie. Wido-
cznie był to człowiek niepospolity, choć niepozorny.

Króciuchny rys jego życia lepiej go nam cokolwiek da poznać. Tomasz Parciński był synem wziętego bardzo swego czasu adwokata, który że zbyt gościnnie przyjmował, za mało o jutrze pamiętał, ledwie począwszy wychowanie swego syna, odumarł go prawie bez grosza. Pozostała wdowa, poczciwa i potulna kobiecina, której całym spadkiem było trochę sprzętu, wiele papierów i niepozorny dworek w powiatowem miasteczku, pewną była w początku, że ci wszyscy co sprzyjali jej mężowi, co go tak kochali, których on tak przyjmował, co się mu zaklinałi że dla niego gotowi dać życie, zajmą się losem jej i dziecięcia. Ale zawodna to rzecz owe hałaśliwe przyjaźni ludzkie, im kto ma więcej gdy ich nie potrzebuje, tem pewniej zabraknie mu w chwili kiedy się do nich odwołać przyjdzie.

Ze śmiercią starego Parcińskiego osamotniał dworek — jak wymiótł. Pisała wdowa listy, przypominała obowiązki, odpisywano zimno, uciekano daleko. Późno otworzyły się jej oczy, popłynęły z nich łzy, ale młody Tomaszek, oburzony niewdzięcznością, którą zawczasu poznał, uspokoił wdowę. Nie miał on czasu być dzieckiem, pomyślał o matce i sobie, wziął się gorąco o własnych siłach, z ufnością że pracę wszystkiego dopnie. Ale są prace jak kwiaty, które los bezowocowemi czyni

na przekór ich sile i piękności.

Tysiące zawod niepokonanych spotkał przed sobą Parciński, w szkołach nie lubili go nauczyciele, choć był najlepszym uczniem, na świecie odwracali się ludzie od niego, choć do wszystkich się garnał sercem, które urazy nie pamiętało. Nie daleko mógł zajść, pomimo ochoty i zdolności do nauki; w piątej klasie umarła mu matka, został sierotą na świecie, samemu sobie oddanym, dziedzicem lichego domku... Potrzeba było szkoły porzucić, nie miał już o czem iść dalej; matka pracowała na niego jak to matki umieją, nie wiedzieć jak dobywając grosza z pracy drżących rąk starych. Dworek Parcińskiego stał na ustroniu, w złym kącie, stary był, ciasny, trudno go było wynająć, przecież Tomasz znalazł kogoś co mu kilkadziesiąt rubli zapłacił, a sam się na strych wyniósł; że zaś nie było dla niego innej drogi, poszedł służyć do kancelarii. Nie będziemy opisywali jego ciężkich lat młodości, odartej z wszystkiego co wdzięk ich stanowi; na nieszczęście Tomasz miał namiętność, tą była nanka, chciał jej być bezinteresownie, pragnął jej, jakby w ciemności tęsknił za światłem. Latwo wystawić sobie z ilu trudnościami łamać mu się przyszło, żeby tej żądz choć kroplą zadość uczynić. Nie miał za co ani kupić książki, ani gdzie zetknąć się z ludźmi co by mu dodali odwagi i sily; towarzysze z niego szydzili, on sam nie jasno widział drogę, którą iść sobie postanowił.

Nie go jednak nie zraziło, szyderstwa przyjmował łagodnie, przeszkody łamał z odwagą, a czego nie wiedział to instynktowo starał się zgadnąć. Ile mu chwil wolnych zostało. wszystkie poświęcał pracy najniewdzięczniejszej, urywanej, nieporządek, nie pokierowanej,

któraby poszła w korzyść; wielkiego trzeba było wysiłku. Czytał i doświadczał przez co nie jeden samouk przejść musiał: jedna książka zabijała mu drugą, jedna nabyta prawda kruszyła te co pod nią leżały. Nużyła go ta walka, w której sam sobie wystarczać musiał, ale go nie zabiła. Owszem umysł w niej uabral hartu i tęgości, a świeżość i oryginalność odznaczały pomysły biednego sieroty, na którym się nikt przecie nie poznał. Z kancelarji powoli przeszedł na to u nas dosyć niekorzystne stanowisko plenipotenty, które nie wiele daje a wszystkiego życia wymaga. Pracując na kawalek chleba w pocie czoła cicho, zamknięty, co zarobił drepząc dla cudzych spraw, obracał wszystko na książki. Ta namiętność uczyniła go śmiesznym; mało jest ludzi co pojąć są zdolni coś podobnego, a że w ogóle za niepraktycznych poczytują tych co myślą żyją, zaszkodziła mu wielce, bo nie chciano uwierzyć, żeby mógł cokolwiek potrafić w życiu codziennem ten co w niem nie żył i innego szukał. U nas też wszystko prędzej darują i przebaczą nad takie zamiętanie nauki, sztuki, czegoś nieprzystępnego dla tłumu. Uwierzą raczej w pijaka, kosterę, w rozpustnika i hulakę, niżeli w spokojnego pracownika. Jestli to tylko przeczucie, że namiętność tego rodzaju całym człowiekiem władnie i podziału nie znosi, lub głupota tylko? uiech kto chce odpowie.

Dosyć że pan Tomasz kawęczał, rzadko przez kogo użyty, ale tyle widać znajdował przyjemności w tej pracy nad sobą. tak mu się ona wywdzięczała za ludzi, że się nigdy nie skarżył. Pospolicie śmiano się z niego, a że do zbytku za uczciwego go miano, że był ubogi a ubóstwo nie pociąga, że był skromny a skro-

mnym się nie wiedzie, ledwie z rzadka spotkało go jakie ważniejsze zajęcie. Chwalono go półgębkiem tylko, ruszając ramionami. Przypadek wskazał Stanisławowi tego człowieka, bo gdyby był szukał go przez innych, pewnieby na niego nie trafił.

Pod samem miasteczkiem pękło mu koło u bryczki, musiał iść piechoto, pan Tomasz siedział z książką nad drożyną, spotkali się; Stanisław począł go rozpytywać, i tak zrobiła się znajomość.

ROZDZIAŁ VIII.

W którym wyglądać poczynają sąsiedzi.

Takim był ów gość przybyły ze Stanisławem do Zakala; skromny jego pozór, uniżone obejście, dość się podobały panu Balowi, a rozsądek zdrowy uderzył wszystkich. Miał on jednak wadę którą była wielce niecierpliwiła starego kupca, gdyby zawczasu nie uprzedził go Stanisław. Parciński skutkiem doświadczeń całego życia widział wszystko z czarnej strony, ludzi i ich sprawy. Rozczuliła go cnota i poczciwość zbytecznie, bo je już za wyjątek przywykł był uważać. W miasteczku i w drodze znając doskonale brabiego i Zakalańszczyznę, bez ogródki powiedział Stanisławowi co o tem kupnie trzymał, ale troskliwy o ojca syn prosił pana Tomasza, żeby o tem o ile możności przed nim milczał.

— Nie widzę racji, odparł pan Tomasz, bo zawsze prawda lepsza od złudzeń daremnych, których przedłużać nie warto, ale będę się starał spełnić pańskie ża-

danie. Upprzedzam jednak, że jeśli mnie o co nowy dziedzic zapyta wprost, nie potrafię skłamać, to nad siły moje.

— Ale nie żądałbym też tego, odparł Stanisław, proszę tylko o uniarkowanie, o stopniowanie w objaśnieniach. Ojciec mój dotąd zakochany w swoim nabytcu, widzi w niem samo dobro, nagle otwarcie mu oczu, mogłoby na nim zbyt przykre zrobić wrażenie.

Tak upprzedzany zjawił się Parciński w starym dworze, zdziwiony sprzecznością jego miny z pełnym smaku wytworem, który już salonik odznaczał.

Stary Bal powitał go z radością widoczną, bo jakkolwiek zajmowało go Zakale, po życiu miejskiem w którym przywykł do ludzi, tęskno mu już było za niemi. Na samym wstępie spytany o hrabiego, pokazał jego odpowiedź synowi, tłumacząc zaraz że w istocie nie miał słuszności.

— Hrabia interesów nie rozumie, ja robiłem pośpieszenie, ale nie mam racji to pewna, bom nabył nie wymawiając sobie wypłaty zaległości. To przypało!

Parciński rzucił tylko okiem na list i uśmiechnął się.

— Przepraszam pana dobrodzieja, rzekł, hrabia się wykręca zręcznie, ale słuszność przy panu, jest to ogólne prawidło, że zaległości winien płacić kto je zrobił, chyba by wyrażony był punkt w transakcji.

— Ten punkt miał się rozumieć, dodał Bal, zresztą mówić nie ma o czem.

— Skoro pan się poszukiwać wyrzekasz; ale najprzód zaległości pospłacać.

— To dopelnim natychmiast. Ale na Boga! zapytał Bal, zaraz na pierwszym wstępie napadł mnie tu pan

pomocnik, i cały wór różnych spraw i groźb wysypał. Radź mi pan, bo nic nie rozumiem.

— Gdzież są papiery?

— Nie zostawił mi ich.

— Widać że nie było nic ważnego, byle nie było zaległości, reszta fraszki.

— Ale możeszże pan zabawić tu z nami, żeby nami się zaopiekować, póki się z naszym nowem położeniem nie oswoim?

— Nie będę się drożył, odparł pan Tomasz otwarcie, nie wiele mam zajęcia, zostanę na jakiś czas najchętniej.

Pan Erazm rękę jego uściskał, wielki ciężar spadł mu z sarca...

Tylko co usiedli, gdy znówu zaturkotało, zaburczało, wszyscy się zerwali do okien i ujrzano jasno-żółtą malowaną bryczkę, czterma karemi zaprzęzoną końmi, z kozakiem na koźle, która przywiozła nowego gościa. Był to słuszny jakiś mężczyzna w burce także, z wąsami, głośno o pana rozpytnający się na ganku.

— A! to pan Szaławiński! zawołał nowo przybyły, poznaję po żółtym rydwaniu, po czarnych rumakach i po sławuckiej burce.

— Któż to? spytał Bał z bojaźnią już.

— Obywatel tutejszy, sąsiad pański, ciekawa figura, wściubski, ciekawski, plotkarz, stary kawaler, nie lubiący domu i szukający nowych znajomości. Ma dziecięcin chłopów za Horyniem...

Nie miał czasu tej charakterystyki dokończyć, gdy się podniosła portjera i słuszny mężczyzna lat czterdziestu kilku ukazał się na progu. Ubrany był w czarną czamarkę krojem extra wiejskim zrobioną, w popielatą

resztę, miał chustkę z pasowemi końcami na szyi, włos krótko ostrzyżony, wąs do góry zadarty, wielkie dwie brodawki na twarzy, nos źle narysowany i szeroki, usta podobne, a wyraz ciekawości, zuchowstwa, śmiałości jakiejś, razem szyderstwa i głupoty najosobliwszy. Wszystko to zmieszało się na twarzy jego w całość karykaturalną, której dobitności dodawał chód teatralny, postawa - rycersko bałagunska i zadarcie głowy mające uależeć do dobrego tonu. Figura ta w mieście byłaby nderzała dziwaczością, na wsi nie zwracała nawet oczu; ale pan Bal, który się jeszcze nie oswoił z sąsiadami, zdziwił się na widok tak podejrzanej fizjognomji gościa, którego łatwo było wziąć za awanturnika.

Pan Szaławiński wszedł raźnie, odważnie, oglądając się jakby chciał robić inwentarz, powiódł oczyma po zgromadzeniu, uśmiechnął się protekcyjnalnie do Parcińskiego i skierował łaskę podnosząc do ust niedbale ku pann^{ie} Balowi.

— Zapewne szanowny gospodarz? rzekł z uśmiechem.

— Tak jest.

— Mam honor prezentować się, Porfiry Szaławiński z Peremyła, sąsiad Waćpana dobrodzieja! przepraszam za natręctwo, ale rad byłem małemu interesikowi, który mi dał powód służenia szanownemu panu.

Ten szanowny pan i cała mowa były w tonie tak górno poufałym, że chyba na wsi przyjąć je mógł pan Bal. A że mu bardzo chodziło o pokazanie się jak najkorzystniejsze przed sąsiadami, o sławę gościnności, uśmiechnął się, podał rękę i wskazał krzesło.

Pan Szaławiński padł na nie, naśladując miejskich paucików, ale wcale niezgrabnie, nogi wyciągnął, łaskę

wbił między nie i spartłszy się na poręczy, obejrzeć raczył po saloniku.

— To prawdziwe cudo! zawołał po chwili; izba czeladna przekształcona w śliczny salonik!

— Z musn i na prędce, rzekł przesiadując się Bal; spodziewam się coś lepszego zrobić z tego domu.

— Na co tu lepsze? rozśmiał się pan Porfiry. na wieś i tak aż nadto.

— Jak dla kogo, przerwał Parciński, a czemuż ludzie majątni nie mają sobie wygódek i przyjemności pozwolić?

Przybyły wciąż robił inwentarz mebli i kiwał głową i laski gałkę do ust przybliżał, niekiedy brwi podnosząc.

— Przecieżeśmy się doczekali, dodał po chwili, że w Zakalu będziemy mieli sąsiada! Poczciwy Sulimowski opuścił ten majątek, a w naszym nielicznem kółku wielka przez to była strata; tu taka pustka!

— Przyznam się panu, że nie jeszcze nie wiem jakie mam sąsiedztwo, bom dopiero od kilku dni przybył, rzekł Bal.

— Nikt pana lepiej nie objaśni nad pana Porfirego, rzekł Parciński. bo zna wszystkich, bywa wszędzie i nikogo nie oszczędzi.

— O! o! obgadujesz mi nie mości Tomaszu, odezwał się z góry gość; ale w istocie sąsiedztwo znam na palcach. I nie dziw, swobodny jak ptak, sam jeden, nie lubiąc gospodarstwa, przepadając za towarzystwem, muszę robić znajomości... Poczciwy hrabia Jan mieszka daleko, dawni moi towarzysze i przyjaciele: książę B... baron C... powynosili się... zrobiłem sobie nowe kółko.

- - A więc chwala Bogu, sąsiedztwo liczne? spytał

kupiec, którego ton pełen próżności śmiesznej przybysza niecierpliwił nieco.

— Dosyć! dosyć! mruknął pan Porfiry. Najprzód, jeżeli szanowny pan chcesz wiedzieć, mamy tu... kogóż? (pomyślał chwilę podkręcając wąsa) a! państwa Hurkotów w Dębnie; ludzie majątni, dzieci troje, wiosek dwie... Dom bardzo miły! ludzie porządni! o! co się zowie! Jestem tam częstym gościem na preferansika. Hurkot dobry, pocziwy, do rany przyłożyć! Mogę ich na czele postawić. Dalej — przypominajże mi panie Tomaszu.

Parciński ruszył ramionami.

— Ja nie wiele znam okolicę...

— A! są zaraz Dankiewiczowie w Burkach...

— Imiona coś nie ciekawe i herbarzem nie pachną, rzekł w duchu pan Bał.

— I to ludzie godni, choć ubożsi, ale familja ta stara u nas, sama z domu Kościńska... bezdzietni, gościnni bardzo, w interesach trochę...

— A czemuż nie wspominasz o Zmorze?

— Tak, jest w Brogach o milkę Zmora Teofil, kuzyn Sulimowskich, u niego się najczęściej zbieramy mężkiem kółkiem i hulamy co się zowie... A dalej mamy jeszcze... nieoszacowanego Jasia... Zapominam że pan dobrodziej obcy, powinienem go nazwać inaczej, wielki to mój przyjaciel i zabity myśliwy, Jan Pancer; dalej jeszcze, któż?? Piotr Hubka...

— Ale cóż nam z takiego rejestru, przerwał Parciński, pan Porfiry powinienby dobitniej ich odrysować.

Wyraziste milczenie przybyłego malowało jakby umyślną wstrzeźmiewliwość, która się mówić zdawała: Niech-no lepiej poznam z kim mam do czynienia!

Bał milczał.

W tej chwili drzwi po cichu się przemknęły i pani Bałowa z córką weszły tak do salonu, że miejski elegant czy ich w istocie nie słyszał, czy udal że nie słyszy, on się zerwał z krzesła, gdy Bał wziął się do przedstawienia go.

— Pan... pan... tu się zająknął, bo nazwisko zaczęło mu się gwałtem od wszystkich liter alfabetu prócz S... i przypomnieć go sobie nie mógł.

— Szalawiński, podszeptał przytomniejszy Stanisław.

— Szłapiński! powtórzył kupiec, czego szczęściem nie dosłyszał przybyły, zajmując się w tej chwili odegraniem sceny, do której się całą drogę gotował.

— A! na Boga! za kogoż mnie państwo wezmą? przepraszam! nie powstało mi w głowie że tu damy za-
stać mogą! Proszę darować mojej toalecie.

Bał mu się uklonił, kobiety nie słuchały wymówek, zaprezentowano pana Tomasza, krzesła się przesunęły, towarzystwo zasiadło i przepyszne serwisy herbaciane poczęły migać się przed olśnionymi gościa oczyma.

— Do trzysta diabłów! mówił w duchu gryząc ła-
skę, jeżeli to nie Fraget. to ten człowiek musi mieć
miljony. Ho, ho! jaka impozycja! dywany! srebra!
On tu widzę myśli rej wodzić! To musi być żyd zbo-
gacony! Patrzajcie! i córeczka nie szpetna...

Podzielona była uwaga pana Porfirego między sre-
bra i Lizię, która układem, twarzą, oczkami, za-
chwyliła starego kawalera.

— Ależ bestja ładna! powtarzał sobie, jak berdy-
czowski żydówki, słowo honorn! jeśli jeszcze bogata?

choćby neofitka. gotówbym się starać.

Przybyły, który się nie spodziewał ani ludzi, ani domu zastać na takiej stopie wytwornej i pańskiej, jechał z myślą przedrwiwania, gorzał ciekawością zajrzenia, żeby miał co rozpowiadać o kupeczyku z Warszawy i nie mógł sobie z doznanyim zawodem dać rady. Srebra i Lizia zmuszały go do zmiany tonu: dwa bowiem miał zwykle pan Porfiry, jeden ton wyższości dla tych, których uważał za niższych, drugi niesłychanej pokory przy bogatych i tych, których potem odszedłszy nazywał żółtobrzuchami. Było to wprawdzie na wywrót, bo inni ludzie dla niższych starają się być pokorni, a trochę dumni z tymi, co niemi pomiać mogą — ale — tak było.

Balowa i Lizia spojrzawszy na tę karykaturę, o mało nie parsknęły. szepnęła nawet trzpiotowata dziewczyna matce na ucho, że coś podobnego na parawanie chyba widzieć się zdarza, ale matka zagadała to żywo i rozmowa pchnięta ze zrećnością kobietą poszła jakotako. Pan Szaławski powoli i stopniując artystycznie przejście, z tonu do tonu się spuszczał, stając coraz grzeczniejszym i śmieszniejszym jeszcze jeśli można.

Pan Tomasz ze Stanisławem został w kątku po swojemu złożywszy ręce na piersiach i opuściwszy głowę.

Nie będziemy powtarzali banialuków pana Porfirygo, które śmiertelnym strachem nabawiały matkę. lękając się żeby Lizia nie parsknęła ze śmiechu, nareszcie filut dziewczyna wymknęła się nie mogąc wytrzymać. Pan Porfiry wiedząc jaki na nim ciąży obowiązek, że go obkoczą sąsiedzi nagląc o dokładny opis przybyłych do Zakala. ich życia, fizjognomji i t. p., chwytal tymczasem co mógł i notował w pamięci.

— Zdaje mi się, że pan dobrodziej wspomniał coś o interesiku? spytał pan Erazm nakoniec z uśmiechem swoim dobrodusznym.

— O! to drobnostka! — odparł elegant pokręcając wąs — mała należność, którą od lat trzech mam na Zakalu.

— Jakto? dług? — spytał z przestraczem Bal.

— Fraszka, maleńki spłatek rekrucki.

Kupiec naturalnie nie rozumiał i wezwał w pomoc pana Tomasza.

— Darujesz mi pan — rzekł — że nie oswojony z tu-tejszemi formami, procedurą, wyrazami nawet, muszę prosić pana Parcińskiego, aby mnie tu zastąpił.

Kwaśno się trochę skłonił głową tylko, nie uchylając karku Szalawiński.

— O co to chodzi? spytał plenipotent, o spłat?

— Tak, spłat dawny należny mi z Zakala.

— Wiele?

— Bagatel.

— Naprzykład?

— Prawdziwie nie przypominam sobie, odparł gość wznosząc oczy do góry, ułożymy to później. głównie chodziło mi o to, żeby się zapewnić czy go odbiore, bo poczciwy Sulimowski nigdy nie nie płacił.

— Świecie co należy z Zakala, jak tylko należy wyplacić, rzekł Bal.

Pan Tomasz syknął.

— Ale zmiłujże się pan! co ta przeszłość do niego należy? to dług Sulimowskiego.

— To dług majątku! zresztą kochany Tomaszu przysze jutro papiery, nie mówmy o tem, to bagatel.

I była to w istocie bagatel, bo ten spłat, który

tylko za pasport do Zakala służył panu Porfiremu, wynosił całkiem około dwudziestu złotych; wziął go tylko za środek dostania się pod dach pana Bala, ażeby mógł potem całe sąsiedztwo objechać z ciekawą plotką.

Zamyślał się teraz tylko w jakich kolorach miał obraz przedstawić, czarno czy różowo? Lizia była tak piękna, wedle wszystkiego podobieństwa bogata, może nie bardzo wysokiego rodu, kto wie, a mąż by się z nią ożenił?

Po godzinnych krygach, dówcipach i obejrzeniu dokładnem, pan Szalawiński pochwycił czapeczkę, pożegnał towarzystwo ukłonem wytwornym i zawołał z ganku na swego Selwecha.

Bryczka zabiegła piorunem, rzucił się w nią niepokojny i poleciał ku domowi zadumany głęboko. Gdybyśmy też mogli choć część tych marzeń starego kawalera wylać na papier? Niestety! nie mamy do tego prawa. Dość że przed swój dworek zajechał namarszczony, zjadł swój krupniczek z półgęska, nie uważając na przydymienie, długo nie spał, a nazajutrz raniuteńko Selwechowi kazal konie zaprzęgać (co zresztą było codziennym obyczajem, bo nigdy w domu dwóch dni nie siedział) i dalej w drogę do Dębna.

Już wiemy że to była stolica państwa Hurkotów, ale ledwieśmy ich wspomnieli, a bliższe poznanie sąsiadów Zakala jest nienechane! Boli nas niezmiernie, że tyle postaci wprowadzamy do powieści, ale tu przedmiot więcej niż my winien temu.

Hurkot podsedek, imieniem Ignacy, był to człowiek pospolity, ni zły bardzo, ni dobry, jedni go mieli za szachraja, drudzy za pocziwego. Zdania się w tem nie zgadzały, ale kto wie, czy oba nie miały w sobie po

żdźble prawdy. kragło pocziwych i kragło lotrów na świecie nie wiele. najpospoliciej trafia się mieszanina, z której tłum nlepiący. Pan Ignacy Hurkot należał do tłum, był planetami, jak się wyrażają często o dniach zmiennej pogody ludzie nasi — zły i dobry. Godłem jego życia było — aby dalej! Nie miał planu i zasady, rnszał trochę na oślep, a omackiem trafiało się i potknąć, potrzebyienne, wpływy bliższe kierowały nim absolutnie. Zresztą egoista po swojemu do wszelkiej hulanki mimo wiek pociąg mając, próżniak jakich mało nawet w kraju próżniaczym jak nasz, żonie naprzemian ulegał i walczył z nią, z ludźmi się darł i godził, i tak chylkiem szedł już pięćdziesiąt kilka lat po bożym świecie. Pietnean była w nim dziwna pretensja do sejmikowej i salonowej wymowności.

Z twarzy czerwonawej podobny był bardzo do indyka, nszy tylko białe, pargaminowe, ogromne, coś także niedoperza przypominały. Mały, wielkim brzuchem, łysy, tak doskonale nosił tytuł podsedka, jakby dla niego był stworzony. Sama pani dobrze się z nim dobrała... niegdyś rodzice jej nie źle się mieli, wychowywać poczęli bardzo starannie, ale w piętnastym roku odumarli ją i Hurkot z pupilą swą znacznie od siebie młodszą ożenił się przez spekulację. Widać było na pani Ignacowej niedokończone wychowanie, które cechuje wielką do wszystkiego pretensją. Ton jej, mowa, postawa, ubiór, wydawały niedopieczoną i zawczasie na świat wyszłą istotę, która później nie miała czasu się doksztalczyć. O trojgu dzieciach tych państwa nie ma co mówić, mieli dwie córki, z których jedną dorosłą już ale nie ładną i syna w uniwersytecie.

W okolicy z powodu dwóch wiosek Debna Ma-

ciorkowicz, państwo Hurkotowie uchodzili za najmajętniejszy i najważniejszy dom obywatelski, podsedek czuł to że był figurą wielką, że przy nim bezsprzecznie był rej, że jego powóz był najlepszy, jego konie najroślej-sze, w kościele pierwsza ławka, u proboszcza pierwsze miejsce... nie powiem żeby się nie zafrasował trochę, gdy o sprzedaży Zakala posłyszał, z dodatkiem że bardzo bogaty nabył je kupiec: ale powiedział sobie z pełnym polityki dylematem — albo się z nim połączę, albo go wykurzę!

Słowa to wczesnio wyrzekł, nie jeszcze nie przewidując.

Dwór w Debnie był nowy, bez architektury, ale czysty, z zielonemi balkonami, z gankiem niebieskim, z ogrodem założonym do koła. W okolicy nważał się za najpiękniejszą bndowę, chociaż Bogiem a prawdą była to klatka tylko. Podsedek nieco domem bywał dumny i mawiał: Jużciż mój dworek żadnemu nie ustąpi, a myślał: Jużciż on wszystkie zakasował.

— Jakże się masz Profirciu? żono! wódeczki! a co tam na objad? mamy gościa, zawołał podsedek smokcząc przyhyłogo, który w czamarce, z laseczką, wszedł do salki w Dębnie. O! jakże mu się licho wydała po improwizowanym saloniku w Zakalu, aż się zdziwił postrzegłszy po raz pierwszy nbóstwo paradnej komnaty państwa Hurkotów. Tak się to oczy psują.

Salon miał czystą podłogę sosnową zawoskowaną, ale z mnóstwem gwoździ wystawających z niej ciekawe główki świecące, lustro w niebieskich ramach ze złotem opstrzono i małe, kanapę pokrytą perkalikiem, sześć krzeseł w takichżo mundurach i klepadło fortepian, którego nogi widocznie ciorpialy na nieznaną jakąś

chorobę, bo były pokrzywione najdziwaczniej.

— Jak się masz? Porfirciu! zkadże cię Bóg zsyła? wódeczki! zmarzłeś? jesień, siadaj!

Razem to wszystko wybełkotawszy, pan podsędek posadził gościa. Koniki do stajni, rzekł. Poleciał i stuknął w okno, ale jakże się zdziwił ujrzawszy w twarzy pana Porfirego wyraz z którym nigdy do Dębna nie przyjeżdżał.

Pan Porfiry po wczorajszej wizycie już jakoś mniej uważał pana podsędkę, zawróciły mu głowę splendory Zakala i przybrał przeciwko zwyczajowi swój ton wyższości, jakiego w Dębnie nigdy nie miewał.

— Co to jest? pomyślał podsędek chmurząc czoło, on się dmie! zwykle bywał taki pokorny. Po cóżem się pospieszył konie do stajni postawić?

— No! cóżes porabiał? gdzieś bywał? zawołał głośno stając po swojemu, to jest jak fortepian, jedna noga w prawo druga w lewo, na sposób rodyjskiego kolosu, w stylu architektury egipskiej.

— Ja? odparł faufaron stary, ja trochę w domu siedział, a wczoraj dla interesów byłem w Zakalu.

Podsędek zsunał nogi i jednym susem przyskoczył otworzywszy usta do pana Porfirego, kładąc mu ręce na kolanach.

— A! a! byłeś w Zakalu! Cóż, cóż? Żono! jejmość! kochanie! Czekaj, zawołam Julki!

Pobiegł do drugiego pokoju i wyleciał z nienbraną podsędkową, kobietą młodą jeszcze (stosunkowo do męża), dość przystojną, ale robiącą minki i krygi piętnastoletniego dziewczęcia. Jakoś to tak przeszły jej te dwadzieścia lat pożycia.

— Jak się pan ma?

— Wystaw sobie, kochanie! był w Zakalu!

— A! był pan w Zakalu?

— Byłem wczoraj, rozpierając się i cedząc powoli z ponurym tonem pan Portiry.

— Dmie się, wyraźnie się dmie! rzekł znówu w duchu podsędek, co jemu jest? zapomniał gdzie przyjechał!!

— A cóż? spytał głośno, mówże, a obszernie, co za ludzie, jak wyglądają?

— Ludzie, bardzo przyzwoici, odparł kawaler, widać niezmiernie bogaci, ton miejski, dom na wielkiej stopie...

Kwaśno uśmiechnął się podsędek i pochwycił stając znówu po egipsku.

— Na jakiej stopie? rozśmiał się...

— Elegancja wielka! wystaw sobie podsędku.

— Tego nigdy nie było! rzekł w duchu pan Ignacy, żeby on mnie podsędkiem goło i kuso nazywał, mówił zawsze panie podsędku, w głowie mu się przewróciło!!

— Wystaw sobie panie podsędku! kończył Szalawiński. cały salon zrobiony z izby czeladnej. wysłany perskimi kobiercami, we drzwiach ogromne prześcieradła... chcę mówić zasłony, z ciężkiej materji tureckiej, błyskotek i fraszek pełno, a jak podali herbatę, stoly pękały od sreber.

Podsędek aż się cofnął i minę zrobił niezmiernie zdziwioną.

— Co ty pleciesz?

— Zobaczysz kiedyś sam, to się przekonasz, musi być bogacz ogromny...

— Cóż to? Zakale! lichota! nie mieniałbym się na Dębno.

— Tak, ale oprócz niego ośm kamienic w Warszawie i kapitały!

— Cóż to? chyba żyd? spytał podsędek.

— Gdzież znowu, odparł Porfiry, Parciński który tam już plenipotentuje, mówił mi że pochodzi ze starożytnej familji Balów z Balogrodu, o której wiele czytał... i bardzo dumny nawet.

Pan podsędek napchał pełen nos tabaki, spojrzeli z żoną po sobie.

— Ha! rzekł przechadzając się, co nam tam do tego! Bal! Bal! nie znam takiej familji. To coś żydem śmierdzi! kupiec! podradczyk! Zkądby miał tyle pieniędzy? zobaczymy... A ludzie? -

— Sam, poważny, grzeczny człowiek; sama kobieta wielkiego tonu, a córka jak anioł!

Paui podsędkowa schwyciła się.

— Aniolek? powtórzyła ze śmiechem poglądając na męża. jak pan Porfiry nie żałuje dziś pochwał.

— W istocie to ma minę mistyfikacji! poważnie zawołał podsędek. Drwisz czy co?

— Ale uchowaj Boże!

— A więcej tam kto? spytał gospodarz.

— Syn, śliczny chłopiec!

— Cha! cha! widzę ci się wszystko podobało, krzyknął zażywając znowu tabakę zachmurzony podsędek... A cóż tam, nie słyszałeś, myślą żyć z ludźmi? będą tu mieszkali?

— Mieszkać chcą w Zakalu, ale dom na łeb na szyję przerabiają, po drodze spotykałem tylko kupy rzemieślników, szeregi fur wiozących materiały, pozakupywali, posprowadzali co gdzie było.

— O! a jaż mam wapno! zawołał podsędek niespo-

kojny! zkadże wzięli wapna... w Zakalu się margiel nie kopie, na okolicę u nikogo bez niego się nie obejdzie...

Ledwie tych słów domówił, gdy wszedł poufaluć do salonu Moszko Hercyk, znajomy nam arędarz z Zakala i stanął przy drzwiach nizko się podsędkowi kłaniając.

Gość to był zawsze pożądanym, bo pieniądze dawał, ale nigdy jak dziś, podsędek miał w ręku sposób sprawdzenia mytycznych powieści pana Porfrego, poskoczył ku niemu.

— Jak się masz Hercyk? a co tam u was nowiny, w Zakalu słyszę nowy pan?

— A mamy go! doczekaliśmy się, odpowiedział fleumatycznie żyd gładząc brodę.

— No! no! gadajże!

— Śliczny pan! rzekł Moszko, grzeczny, układny... i bogaty!

— Ba! ba! zkadże o tem wiecie?

— Znać pana po cholewach! wrzucił Portiry.

— A! dajże mi się rozmówić! syknął podsędek, zasłaniając Moszka i biorąc go w obłężenie. I bogaty mówisz panie Hercyk?

— Juściż to ze wszystkiego widać, mówił żyd. W Zakalu dom na nowo wyprzedzamy.

— O! czemuż u mnie wapna nie kupujecie?

— Właśnie po to przyjechałem.

— Żono! kochanie! daj nam wódki! obrócił się podsędek. nie bez rachuby częstować myśląc przed targiem.

— Pan Porfiry mi tu pełną głowę nagadał o nowym sąsiedzie.

— Czemu nie! rzekł żyd, jest o czem, człowiek bar-

dzo piękny. znać z wielkich panów, grzeczny, grosza nie patrzy, jak co chce, to widać że nie przywykł się obywać. Żona także śliczna, a córka i syn daj Boże wszystkim, jak lalki.

Podsędek zażywał tabakę, ale z czerwonego przechodził w kolor siny, który zawsze oznaczał u niego bardzo zły humor i bełkotał coraz niewyraźniej...

— Hm! hm! wielka figura! kupiec z Warszawy! mówił pod nosem. Wielka rzecz Zakale! bogaty! sławny bęben za górami!

Pan Bal miał już nieprzyjaciela w podsędku, zawistnych w całym jego domu.

Zgodzono się o wapno, które potrzebował bardzo spieniężyć pan Hurkot, ale wieści przez pana Szaławińskiego i Hercyka przyniesione wstrząsły nim do głębi.

Lat dwadzieścia dom jego był pierwszym domem, on pierwszym w okolicy, a tu mu na siwe włosy przybywał obcy ktoś wydrzeć palmę. Z tego nic nie będzie! chodząc po pokoju mruczał wieczorem po odjeździe Porfirego gospodarz. To są plotki! ja się nie dam zjeść w kaszy! Ten człowiek musi mieć w sobie coś podejrzanego! To jakiś neofita! Zobaczymy, jak się z nim obejść... powinien przecież odwiedzić sąsiadów, pomyślim czy mu oddamy wizytę... Nowe stosunki powinny się zawierać z wielką rozważą! To mogą być awanturnicy... I to pewna że im nigdzie pierwszego miejsca nie ustąpię... Jam tu pierwszy!

Zawszem był pewien, że Portiry blazen, choć stary, ale nigdy mi to się jawniej jak dziś nie pokazało. Zapalił się do tych przybłędów i już nosa zadziera, zaczyna mi mówić mój podsędku! tego nigdy nie było! Żydowi

się nie dziwuję, choć i ten rozsądniejszy tu by być powinien, ale na czym wózku jedzie, tego piosnkę śpiewa; ale on! czas by mieć rozum.

Dosyć, że tak cały wieczór rozmyślał pan podsedek dosyć zakłopotany, nabierając jednak jak mógł otuchy, gdyż za przesadzone wiele uważał doniesienia sąsiada i żyda.

— Kiedy tak, rzekł nareszcie biorąc ogromny nunch tabaki z przechyleniem głowy, przed adwentem jeszcze dam wieczór i zakasuję tego jegomości. Wapno sprzedane, zieleniak jest, cielecina się kupi, niechaj znają że umiem się pokazać kiedy chodzi o honor! Zobaczymy kto tu pierwszy być ma, czy ten jakiś przybysz niewiadomego rodu i pochodu, czy ja z dawna osiadły i rej wodzący w okolicy.

Były to tylko marzenia, ale jak pełne groźb dla przyszłości!

Pan Porfiry nie ograniczając się Dębem, przed wieczorem jeszcze pospieszył chcąc odwiedzić koniecznie państwa Dankiewiczów w Burkach, pana Teofila Zmore w Brogach, a zanoć u Jasia Pancer'a.

Państwo Dankiewiczowie byli to ludzie średniego wieku, jednej wioski nadkaszanej dobrze dziedzice, bezdzietni. Sama pochodziła z Kościńskich i była pewna, że familja jej wielkim jaśniała splendorem. Dworek u nich pod słomą, staroświecki, ale drzwi jego stały otworem, aż się spaczyły, pocziwe to były serca, ale... ludzkie. Obojgu dokuczała próżność. Walcząc o lepsze z państwem podsedkowstwem nadtracili się już dobrze i nie przestawali boju.

Domy Hurkotów i Dankiewiczów były na stopie sąsiedzkiej przyjaźni, choć w istocie po cichu się gry-

zły. Dziwil się pan podsędek, że Dankiewiczze mogli nawet na jednej wiosce pomyśleć o wydzieraniu im prymu; szeptali ci znowu, że dwie wioski z długami na troje dzieci nie są tak wielką rzeczą, a sama pani powtarzała, że jest z domu Kościńska. W kościele, na zabawach, panie usiłowały zabrać pierwsze miejsca, i ta która ustąpić musiała drugiej, mocno się tem gryzła, tak że bywały choroby. Sami panowie pod serdeczności pozorem kryli stare urazy, podsędek brał wszędzie górę z tytułu swego, a Dankiewicz ustępował do czasu przysięgłszy że choćby wszystko stracił na urzędzie, koperty się lepszej dorobi.

— Co to podsędek, mawiał; cóż to podsędek?... nie! czczość! Wolę nie mieć żadnego niż taki nędzny tytulik, to śmiechu warto.

Państwo Dankiewiczowie więc nie byli bez niepokoju zasłyszawszy o przybyciu nowego dziedzica do Zakala; sam zamyslał przeczuwając, że Zakale weźmie się z Debnem za ręce, a Burki pójdą w komysz.

Na takie własnie apreheusje nadjechał wózek Porfirego, który tu był poufale i serdecznie, przybierając zawsze swój ton wyższy...

Dankiewicz, chuderlawy mężczyzna, który miał w twarzy nerwową drżączkę, wykrzywiającą mu jeden policzek, błądy, ruchawy, ciemnego wlosa, oliwkowej cery, trzaskając drzwiami wybiegl na ganek swego dworku wołając:

— Jak się masz kochany sąsiedzie? w sam czas trafiłeś na herbatę, samowar kipi, żouka ma nalewać.

Weszli na prawo do saloniku, który był znacznie mniejszy od Hurkotowskiego i cale inaczej wyglądał; choć mniej w nim pretensji, więcej było wdzięku.

Sprzęt pamiętał dawne czasy, krzesła wyginaue, kanapki bronzowemi gwoździkami i czarną wybite włosiennicą, stoły stosowue. obrazy familijne i kilka poczeruiałych mazanin na ścianach ubierały go mile. Na oknach kwiaty, pstre firanki z białą fręzlą, wszystko aż do dawnych drewnianych futryu, niegdyś obiciem wypełnionych, było harmonijne w starym dworku. Ale znać też było niedostatek, który dziurami przeglądał. W drugim pokoju, podobnym pierwszemu, wrzał już samowar, a na kanapce z pończoszką w rękę, z wielkim brylantowym na palcu pierścieniem, siedziała pani Dankiewiczowa z domu Kościńska, milej dosyć twarzy, wielkich tonów kobiecieua, trochę ułomna, co jednak starannie ukrywała. Podsędek zawsze w cztery oczy z żoną nazywał tę parę kulawemi turkawkami, chcąc przez to wyrazić obojga defekta i obojga miłość, w istocie przykładną.

Sklonieniem głowy poważnem powitała pani domu gościa, który ze zwykłą przesadą się jej uklonił i podała mu białą rączkę do pocałowania.

— Zkądże wiatry szczęśliwe przynoszą pana? spytała.

Tak się rozpoczęła rozmowa, najprzód od Hurkotów, potem przeszła na Zakale. I tu opowiadania już coraz kwiecistszego słuchano z zajęciem osobliwem. Pan Porfiry, który się coraz lepiej wyuczał i coraz ozdobięjszy tworzył opis salonu w Zakalu, z pociechą ujrzał że wielkie wywarł wrażenie.

I była chwila milczenia długiego, aż się sama pani ozwała:

— Cóż podsędek na to?

— A! podsędek! zawołał gość, myślę że dosyć mu nie w smak nowo-przybyły, bo podobno ciężko z nim

bedzie pójść w zawody, a chciałoby się utrzymać.

— Śmieszna próżność ludzka, z uśmiechem powagi pełnym i litości odparła z domu Kościńska, zawsze chce się być pierwszym, nawet gdy się drugim być nie może.

Mąż chrząknął, nie chcąc żeby się żona bardzo z tym przedmiotem przed Porfiryem wygadywała.

— Dla czegoż zaraz niecheć do tych ludzi? mówiła dalej pani. uważałam że Hurkotowie już im ich kupiectwo, ich pieniądze wyrzucają i ród gotowi mieć w podejrzeniu. Ja przeciwnie. radam ich poznać, a póki nie znajde złego, nie bede sie go domyślała.

— Ślicznie moja Kasiu! cudownie! porwany tykiem swym z trzesącą twarzą zawołał mąż, to mi złote słowa!

Porfiry pokłasnął także; a wypiwszy herbatę, bojąc się mroku, pożegnał Dankiewiczów i poleciał z kolei do pana Teofila Zmory.

Wiemy już, że to był krewny Sulimowskich, a *per consequens* miał się za coś lepszego od innych. Był to stary kawaler ale młodzika udający, wielki elegant we wszystkim. wielki koniarz, i że się kiedyś uczył na skrzypcach, był pewien, że pierwszym po Lipińskim jest skrzypkiem w kraju. Bez skrzypców sie nie ruszał.

Dwór przerobiony ze starego lamusu na gotycką architekturę mocno zebatą, spiczastą i wieżyczkowatą, wyglądał zdaleka zwodząc podróżnych co go czasem za kościołek brali. W Brogach ton był wielki i pan Porfiry tu spadał na niższy, bo go Teofil traktował dosyć grzecznie, ale nigdy nie dopuszczając do poufalości.

Jakoż i najtyczauka nie z takim tu zajechała hała-

sem i pan jej wysiadł skromnie, a wszedł do pokoiów bez fanfaronady. W drugim przy zielonym stoliku i szklankach herbaty zastał gospodarza, z Janem Pancerem i panem Hubką grających w preferansa.

Powitano go różnie: Zmora uprzejmie, ale zdaleka, Jaś rzesisto obsypując całusami, Hubka ze śmiechem który mu wiecznie towarzyszył w złej i dobrej doli.

Różnym okiem na graczy.

Pan Tecfil, niegdyś piękny mężczyzna, co jeszcze znać było, ubrany od niechcenia ale z wielkiem staraniem, miał włosy i wąsy widocznie farbowane, twarz świeżo opaloną, ubiór wykwintny i bijący w oczy. Gnzy koszuli, spinki u rekawów błyszczały brylancikami, dewizka zegarka była emaljowana, kamizelka aksamiotna, ale mimo te barwne skrzydelka motyle, motyl miał lat czterdzieści i pięć.

Obok siedzący pan Jan Pancer, *vulgo* Jaś zwany, był to niegdyś także szalawila, co siwiejąc zapomniał, że czas było przybrać inny ton, inne życie. Hulaka, sławny śpiewak piosnek polskich i francuskich, dobry jeździec, kobieciarz choć szpakowaty, miał twarz bladą, wygoloną, włosy krótkie, uśmiech miły i trochę otyłości. Trzeci gracz pan Hubka, ex-komisarz, dziś bogaty właściciel, gruby, tlnsty, z nosem jak gruszka, z twarzą pospolitą, włosami na tył zarzuconemi, pierścieniami na palcach, wchodził dopiero w obywatelstwo, i że niełatwe wysłowienie zastępował śmiechem, miano go za dowcipnego. bo są ludzie którym do śmiechu dosyć, jak do ziewania, żeby gdzie usta zobaczyli otwarte.

Podano herbatkę, rozmowa się wtoczyła zaraz na Zakale; wszyscy trzej rzucili karty, tak ich zajął pan Portiry jednym słowem — byłem w Zakalu!

Pytań stosy nań spadły, a po raz trzeci czy czwarty powtarzając wydanie swego opisu, znacznie tu udoskonalone i poprawne, publiczności udzielił.

Usta były otwarte, zdumienie widoczne, myśli przelatowały po czołach jak jaskółki przed burzą.

— Cóż ty nam śpiewasz z wysokości, zawołał gospodarz... kochany panie! zdaje mi się żeś trochę wezwał w pomoc wyobraźni, na której ci nie zbywa. Miałżeby to być zaczarowany pałac?

— Tak się on wyda, odparł ubodnuty gość i tonem gospodarza i niedowierzaniem jego, tak się wyda przy naszych szlacheckich domkach.

— A to co, nie szlachecki dom także?

— Powiem panu, że zakrawa na pański, tyle tam gustu i przepychu.

— Więc to coś bogatego? spytał Jaś Pancer, i może nam dawać smaczne objadki i wino...

— Lepsze niż Dankiewiczów zieleniak, przerwał Porfiry śmiejąc się z konceptu, rad że mu chórem wtórował Hubka.

— Że bogaty to ani słowa, z wysoka zawsze, rzekł gospodarz przeglądając się w zwierciadło, co miał we zwyczaj, pilnując się w ten sposób żeby nagle nie postarzeć — Sulimowski mi mówił, że był raz u niego na obiedzie i nie mógł się naopowiadać dostatku.

— Widać że bogaty, cicho rzekł Pancer, kiedy tak dobrodusznie dał się ociąć hrabiemu, który wziął z górą pół miljona za Zakale, nie warte trzechkroć może. Darniż że mówię na kuzynka.

— O! ja kuzynka tego znam dobrze! uśmiechnął się Zmora, mieliśmy z sobą roboty familijne... to dosyć!

— Ale cóż to za człowiek? spytał Hubka uśmiechając się.

— Pocziwiec, jeśli ci o to idzie. odparł gospodarz, bogaty...

— Szlachcic? powtórzył ex-komisarz, który często o szlachectwo pytał, żeby się swoim potwierdzeniem już pochwalić.

— Nietylko szlachcic, rzekł gospodarz, ale nawet ma i może słuszną pretensję do wielkiego rodu.

— Jak żyję nie słyszałem o Balach.

— Prócz w lesie, rzekł Pancer...

— W swoim już krewnych nie znajdzie, dowcipnie poparł Zmora, Sulimowski mu kuzynków wystął do Gdańska.

— No! a jakże wyglądają? spytał Jaś siwy, Jejmość czy stara? córeczka podobno jest?

— Jejmość, ni stara ni młoda, przystojna jeszcze...

— Na głodny ząb... wrzucił Pancer.

— Ale córeczka! wykrzyknął Porfiry.

— Załóżcie się ze mną, przerwał Zmora, że pan Szaławiński już o niej myśli!

Hubka parsknął śmiechem takim, że mu karty z rąk poleciały.

— A gdyby? dumnie odparł gość, cóż to by było tak dziwnego?

— Kochany panie Porfiry, rzekł Zmora, a latka?

— Wszakżem młodszy podobno...

— Od kogo?

— Ej nie rachujmy się.

— Gospodarz się zmarszczył i odmienił rozmowę żywo. No! opiszże córkę, rzekł.

— Dość powiedzieć aniołek!

— Ba! aż tak! zawołał Jasi, to coś podejrzanego kiedy ją tak chwalisz. Ładniejsza tedy od Hurkotówny?

Wszyscy się rozśmiali, bo córka starsza podstępka zbyt była do niego podobną, żeby ładną być miała.

— Żartujesz Jasiu! ale jak ją zobaczysz!

— No to co? westchnę tylko wołając *non nobis! non nobis!* Ba! gdyby nie siwizna!

— Cha! cha! cha! poparł Hubka, a mnie gdyby nie grubizna!

— Jak zaczniecie się nią rzucać, rzekł Zmora, ciężar spadnie na mnie.

— Dla czegożby nie, dodał Jasi, jeszcześ młody

— Do diabła to *jeszcze!*

— Przystojny, miły, nie ubogi.

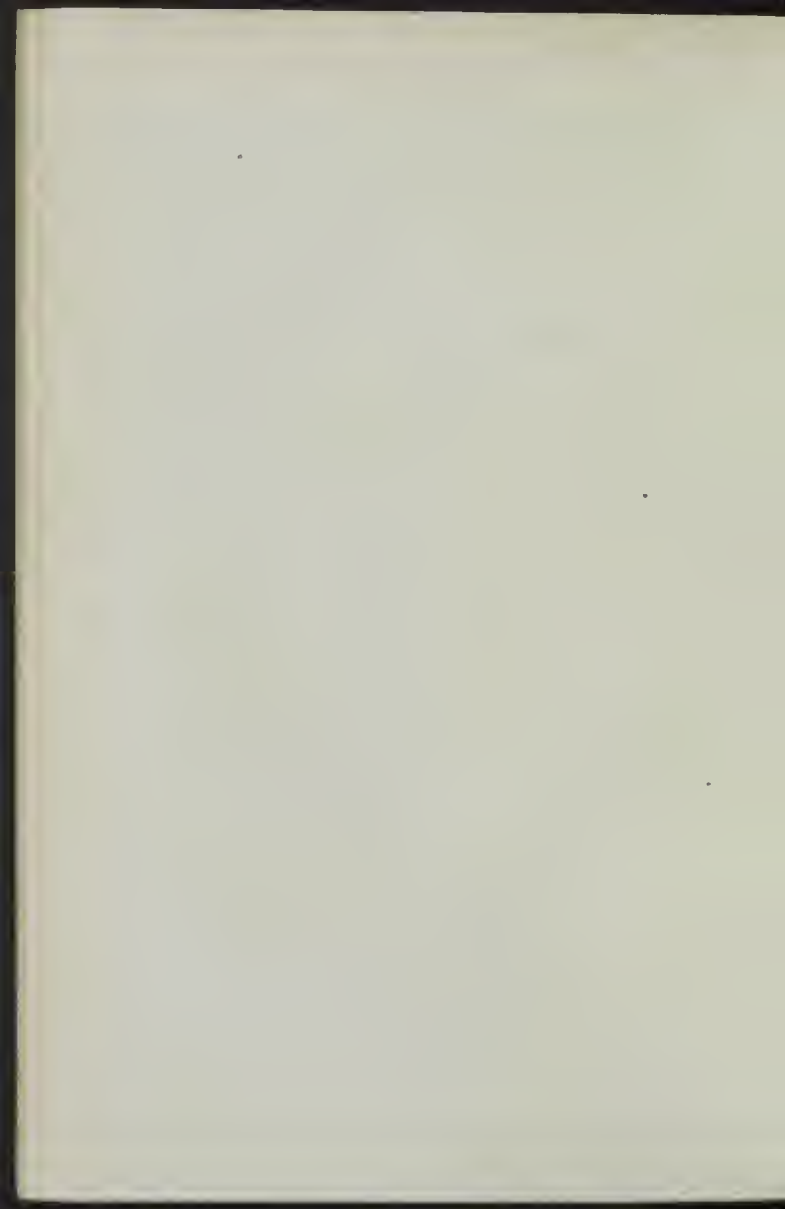
— I tam dalej, i tam dalej, bo się pochwał boję gorzej polajania... Pomagasz?

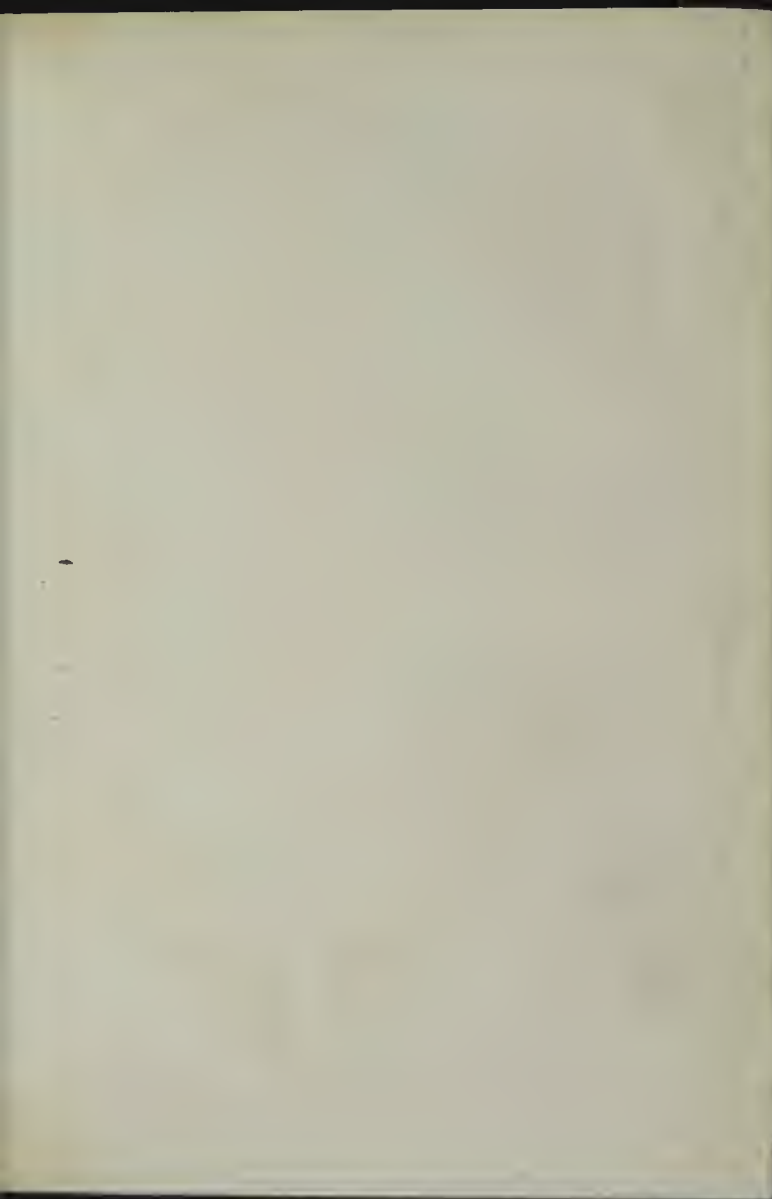
Gra stała się żywszą, ustała rozmowa, a pan Porfiry zapalił fajkę, i spokojniejszy usiadł obwieszony po okolicy swoje wiadomości, z którą się popisał uaj-pierwszy.

Łatwo teraz będzie pojąć jakie wrażenie ukazanie się państwa Balów miało zrobić w okolicy i jakie tu czekało ich przyjęcie.

KONIEC TOMU DRUGIEGO









509—

Biblioteka Raczyńskich

JK 1474



JK1474